

VariArt

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA w OLSZTYNIE



www.wbp.olsztyn.pl

pismo kulturalno-literackie
NR 04/2015 (29)

RELIGIA



ISSN 2080-1483

Stanisław Czachorowski

O ewolucji, duchowości i religii

Czy duchowość i religijność można rozpatrywać w kategoriach biologicznego przystosowania? Można, w sensie poszukiwania analogii między ewolucją biologiczną a ewolucją kulturową. Głupota to błędna ocena rzeczywistości. Tak jak np. wada wzroku nie pozwala dobrze ocenić tego, co nas otacza. Z głupoty raczej nie zdajemy sobie sprawy, więc odpowiednich „okularów” nie poszukujemy.

Wyobraź sobie, że jesteś w obcym terenie, gdzieś w lesie lub nieznanym ci mieście. Masz mapę, więc sobie poradzisz i wszędzie trafisz? A jeśli to nie jest mapa tego miasta? Błądzenie zapewnione, bo mapa oddaje inną rzeczywistość. Jest złym, nieadekwatnym modelem. Sama mapa nie jest zła, tylko nieświadomie stosowana jest do poruszania się w niewłaściwym miejscu. To tak jakby wkładać ubrania do lodówki, myśląc, że to pralka (w sumie podobne urządzenia). Tym jest głupota – niewłaściwą oceną rzeczywistości.

Przez większość ewolucyjnego czasu żyliśmy w hordach. Zarówno nasi ewolucyjni przodkowie, jak i sam *Homo sapiens*. Żyliśmy w grupach około 150 osobników łowców-zbieraczy czy myśliwych. Konkurowaliśmy o zasoby z innymi hordami-grupami. Tę naszą pierwotną naturę możemy obserwować obecnie u naszych dalekich ewolucyjnych krewniaków: szympansov czy pawianów lub u lwów (żyją w znacznie mniejszych grupach). Obcy to wróg – zabić lub przepędzić. Obcy zapach, obcy wygląd, obce zwyczaje. Żyjąc przez setki tysięcy lat w takich hordach, w dużym stopniu wyizolowanych od innych krewniaków, tworzyliśmy własny język, obyczaje, własną rozpoznawalną kulturę i samoidentyfikację (kultura niczym zapach odróżnia od obcych). Nawet na małym obszarze, np. Papua-Nowa Gwinea – co wioska to inny język. Jak się porozumiewać? Istna wieża Babel. Nijak nie można się dogadać – znacznie łatwiej ze sobą walczyć.

Być może z tego dawnego okresu bierze się nasz stosunek do kobiet. Horda nie mogłaby ewolucyjnie funkcjonować bez wymiany genów. Inna grupa-horda to śmiertelny wróg, ale samce można pozabijać, a kobiety porwać. Zdobyta kobieta zawsze będzie więc podrzędną istotą (usprawiedliwiona przemoc). U lwów, gdy nowy samiec zabije lub przegoni dawnego pana haremu, przejmuje we władanie wszystkie samice... ale młode lwiątko (potomków dawnego króla sawanny) od razu zabija.

W czasie pierwszej rewolucji technologicznej, w neolicie, gdy powstało rolnictwo i zaczęły kształtować się zupełnie inne społeczeństwa, nastąpiła duża ewolucyjna zmiana. Ludzie zaczęli żyć w większych społecznościach i premiowana była współpraca. Pojęcie „swój” znacznie się rozszerzyło. O ile koczownicy prowadzili wojny, by fizycznie zlikwidować inne grupy, rolnicy toczyli wojny, by zdobyć teren i ludzi. Rolników może dziwić brutalność i okrucieństwo koczowników – są z innego świata, niekompatybilnego. Inne kultury, inne cywilizacje. Inne światy... w których poprawne poruszanie się zapewniają zupełnie inne mapy kulturowe. Społeczeństwa rolników musiały zmniejszyć

agresję jednostek a zwiększyć współpracę, także poprzez rozszerzenie pojęcia „swój” na innych. Krąg swojaków znacznie się zwiększył, a zmniejszył krąg wrogów.

Można powiedzieć, że religia (a przynajmniej niektóre systemy religijne) jest sposobem na życie w dużym społeczeństwie. Nie wróg a bliźni... mimo że różni się kolorem skóry, językiem, zwyczajami. Premiowana była nie wojowniczość a umiejętność negocjacji, dyskusji, nie pokonywanie w walce na śmierć i życie, ale przekonywanie w rozmowie. Zupełnie inny typ bohatera – już nie krwawy wojownik, ale mędrzec, uduchowiony pustelnik. Tak rozumiana religijność nie tylko ułatwia tworzenie dużych cywilizacji i współpracujących społeczeństw. Jest w jakimś stopniu dobrym przystosowaniem biologicznym (ewolucyjnym) do życia w nowych warunkach coraz bardziej globalnego świata. Alternatywą są nieustanne wojny, podsypane atawistycznym poczuciem plemienności. Wspomniane przystosowania ewolucyjne dotyczą w największym stopniu kultury, a zapewnia to religia, duchowość (przynajmniej niektóre z nich). Być może w jakimś stopniu zmiany dotyczą naszego biologicznego podłoża i pracy mózgu (umiejętność współpracy, tłumienie agresji itd.).

Ewolucja jest procesem ciągłym. Nie od razu dawne, korzystne w innych warunkach, cechy znikają. Głęboko zakorzeniona w nas plemiennosc ujawnia się w tworzeniu obrazu wroga. Musi być zły, nie-dobry, wstrętny. Bo tak łatwiej z nim walczyć. Ale świat bardzo się zmienił. Te ewolucyjne przystosowania są nieadekwatne do obecnego środowiska. Jak zła mapa, nie z tego miejsca. Krwawi przywódca wojowników ciągle na nowo budując obraz śmiertelnego wroga, którego trzeba nienawidzić i zwalczać. Pokonać i eliminować, z odwołaniem do najgłębszych emocji o podłożu moralnym. To jest zła mapa, nie pasuje do współczesności. Można porównać do głupoty opisanej na wstępie.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.republika.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Sylvia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz, Justyna Artym
Monika Kowalewska (korekta); e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika: Przemek Kozak, Iwona Bolińska-Walendzik

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



02	Kij w mrowisko · Stanisław Czachorowski
04	Wywiad z Agnieszką Kosińską
08	Poezja · Ekaterina Perchenkova
10	Recenzja · Anna Rau
11	Proza · Filip Onichimowski
12	De temporibus anticis · Agata Kulbicka
14	Proza · Kaja Wilengowska
16	Galeria VariArta · Eva Pohlke
odwróć i czytaj dalej	
odwróć i czytaj dalej	
15	Spotkać Boga · ks. Wojśław Czupryński
Powrót królów · Mariusz Moritz	
14	Proza · Bobby B. Barlow
13	Proza · Urszula Witkowska
12	DADA z Zurychu · Arkadiusz Łuba
10	Feliks Nowowiejski · Krzysztof D. Szatravski
08	Poezja · Zbigniew Chojnowski
06	Recenzja literacka · Joanna Piotrowska
05	Recenzja literacka · Anita Romlewicz
04	Z drugiej strony · Justyna Artym
02	

Religia jest w każdym z nas i dotyczy każdego, choć wielu nie zechce nazwać się religijnymi... A przecież to nie tylko ustalony tradycją, sztywny kult, ale i najbardziej pierwotne przeczucia, mniemania, lęki, osobiste obrzędy. To też niepotwierdzone nauką zjawiska czy wizje. To również nasza historia, przodkowie i ich wierzenia, wspólne wielu – zdawałoby się – niezwiązanym ze sobą ludziom. To w końcu filozofia, która wszak jest rozmyślaniami nad tym, czego nie można dotknąć...

Drzewna część „VariArt-u” przybliży owe nieoczywiste, pierwotne i trochę dzikie, czyli związane z naturą wątki... O tym napisali VariArtowscy badacze i tropiciele tchnień religijnych: Stanisław Czachorowski (połączył religię z ewolucją), Agnieszka Kosińska (autorka książki o Miłoszu mistycznym), Agata Kulbicka (z wizją, jak to w dawnych czasach wierzone), Anna Rau (zachwycona tomikiem Erwina Kruka) oraz twórcy literatury – poetka Ekaterina Perchenkova (w przekładzie Krzysztofa Dariusza Szatravskiego) i prozaicy: Kaja Wilengowska oraz Filip Onichimowski.

Niech Trzy Twarze strzegą nas podczas lektury.

Meta-fizyczna Redakcja

Miłosz mistyczny,

z Agnieszką Kosińską, autorką książki *Miłosz w Krakowie*,
rozmawia Ewa Zdrojkowska

W kamienicy przy ulicy Bogusławskiego w Krakowie mieszkał i tworzył w latach 1994–2004 Czesław Miłosz; tu napisał *Pieska przydrożnego*, poemat *Orfeusz i Eurydyka* oraz wiersze opublikowane w tomach *Druga przestrzeń* i *To*. W tym ważnym na literackiej mapie Polski miejscu, w pokoju, w którym pracował Miłosz, rozmawiam z Agnieszką Kosińską, niegdyś osobistą sekretarką noblisty, dziś także kustoszem mieszkania i archiwum poety.

Ewa Zdrojkowska: *Miłosz w Krakowie* nie jest twoją pierwszą książką poświęconą poecie, ale jak zaznaczasz „pierwszą i ostatnią tak osobistą”.

Agnieszka Kosińska: Wszystkie publikacje, które przygotowałam przedtem, były książkami nieosobistymi. A ta jest wyraźnie osobista. Martwi cię słowo „ostatnia”, tak? Nie będzie innej książki o Miłoszu. W tej powiedziałam wszystko. Ona jest też moją żałobą po Miłoszu, ale żałobą, która polega na wypowiedzeniu żalu: szkoda, że takich ludzi i takich duchów już nie ma. Ale opisać takiego ducha to jest wielkie wyzwanie.

E.Z.: To jest książka o Miłoszu czy książka o Tobie?

A.K.: Przynajmniej, użyłam tego zabiegu. Pomyślałam: robisz kalendarz, kronikę tych ośmiu lat. Zapisywałeś rozmowy z Miłoszem, dopuścił cię blisko, masz wyjątkowy materiał. Kto to będzie czytał, kto o to dba? Kogo to będzie obchodzić w zalewie książek ważnych i mało ważnych? I postanowiłam nie udawać, że robi to jego sekretarka, ale pokazać, że robi to człowiek, kobieta, matka, żona, że robi to osoba, która jest z krwi i kości, widzi, słyszy, nie pomija. Chciałam rozbudzić i wykorzystać ciekawość czytelnika. Za życia Miłosza mieliśmy taką niepisaną właściwie umowę, że ja nie opowiadałam o tym, co tu się dzieje, nie dawałam wywiadów do prasy. Byłam, może nie tyle w cieniu, bo to jest zupełnie inna sytuacja, byłam po prostu narzędziem, osobą, która pracuje przy jego boku, a nie rzecznikiem prasowym domu Miłosza. Miałam też układ ze sobą samą, że podczas tych ośmiu lat nie mówiłam o mojej pracy, moi rodzice, moja rodzina, moi przyjaciele nie wyciągnęli ze mnie żadnych, że tak powiem, opowieści, a już szczególnie o tym, jaki jest Czesław Miłosz, jak mi się pracuje. Wydawało mi się to po prostu bardzo higieniczne, ale takie milczenie, jeśli się je uprawia przez ponad piętnaście lat, najpierw pracuje dla nas, a potem pracuje przeciwko nam. Kiedyś trzeba z tym dojść do ładu. I oto rezultat.

E.Z.: Dlaczego tak długo czekałaś z publikacją?

A.K.: Musiałam być gotowa. W tej książce jest zresztą rozmowa z wydawcą, który jeszcze za życia Miłosza chciał u mnie zamówić jego biografię. Odpowiedziałam, że biografię pisze Andrzej Franaszek i że

jeśli coś napiszę, to pewnie w oparciu o moje dzienniki, ale co to będzie, nie wiem i chciałabym mieć dużo czasu, żeby zobaczyć, czy moje zapiski są coś warte. Ten czas, to znaczy dziesięć, a w niektórych przypadkach piętnaście lat, był mi potrzebny właśnie po to, by przekonać się, czy umiem napisać o wszystkim, co tutaj przeżyłam. Czyli przekazując to na praktykę pisarską: czy znajdę język, czy znajdę ton, czy będzie to język zgodny z moim temperamentem. Można powiedzieć, że książki, które zrobiłam wcześniej, czyli wydanie *Wierszy ostatnich*, *Gór Parnasu*, bibliografia, kalendarz, były poszukiwaniem odpowiedniego języka. I on się znalazł – w 2012 r., późną jesienią poczułam, że już wiem, jak to trzeba napisać, jak to trzeba zrobić. Siadłam i zaczęłam pisać. Otworzyłam dzienniki, zaczęłam czytać, potem prawie rok spędziłam w archiwach, sprawdziłam wszystko. Mam bardzo duży szacunek do źródeł, więc to nie jest książka pisana z pamięci, to jest książka robiona na podstawie materiałów źródłowych i wszystkie daty, godziny, nazwiska, fakty, kolejność zdarzeń, kontekst – wszystko to jest materiał źródłowy. Ten materiał źródłowy pomaga udźwignąć moja „przygoda z Miłoszem”, tzn. pokazanie go przez moją osobistą historię, która, mam nadzieję, jakoś ten ogrom działania się, unosi.

E.Z.: Pierwsze miesiące w domu noblisty to była praca dla firmy „Miłosz”?

A.K.: Nie ma w tym niczego dziwnego. Miłosz był starym fachurą, tzn. ja nie byłam jego jedyną sekretarką. Piszę zresztą dużo o innych pomocach fachowych, o innych sekretarkach. Były to przeważnie kobiety. Były też studentki amerykańskie. Faktycznie, ja zostałam najdłużej i nawet żartowano z tego, że Miłosz miał zwykle sekretarki do jednej książki, a tutaj proszę: lata mijają, książki są wydawane, a ja tkwię w tym samym miejscu. Opowiadałam żartem, że widocznie nie jestem w jego typie, bo Miłosz to przecież znany uwodziciel i sinobrody. Również ten aspekt w mojej książce nie jest pominięty i uważałam zresztą, że mogę go dobrze opisać, bo to widziałam i przeżyłam. Mogę opisać jego żony, mogę opisać jego przyjaciółki, mogę opisać jego ukochane kobiety i tę jego opiekunkę serdeczną i jedną z pierwszych

kobiet życia: Jadwigę Tomaszewicz. Osobę dla niego bardzo ważną, osobę, której listy kazał mi głośno czytać w szpitalu, na intensywnej terapii, osobę, o której rozmawialiśmy. To są wzruszające rozmowy, bardzo zresztą istotne, rzucające inne światło na człowieka, który był, pamiętajmy, bardzo zamknięty, bardzo nieufny.

Nic więc dziwnego, że na początku byłam wykwalifikowanym narzędziem, z którym mu się, myślę, dobrze pracowało, bo wiele tu śmiechu, jakiegoś szybko znalezionej porozumienia. Chciałam w tej książce oddać również pewną dynamikę zbliżania się człowieka do drugiego człowieka. Pokazać, jak to jest, że pisarz, dla którego tworzenie jest procesem intymnym, dopuszcza obcą osobę. Myślę, że udało mi się opisać, jak powoli te światy polaryzują się i na jakiej zasadzie możemy razem pracować – ja jestem elementem przezroczystym, dlatego można mi dyktować, ale jednocześnie pomocnym, bo mogę reagować. To bardzo tajemnicze, kiedy pisarz tej miary co Miłosz dopuszcza do procesu twórczego drugą osobę, tajemnicze i fantastyczne. I szkoda by było tego nie zapisać i nie opisać – stąd moja książka.

Występuje w niej, obok Miłosza, kilku ukrytych bohaterów. Jednym z nich, ale bardzo wyraźnym, jest Rita Gombrowicz. Ona miała podobnie trudne zadanie. Proszę sobie wyobrazić, że pewnego dnia Gombrowicz pyta młodą, atrakcyjną Kanadyjkę, Ritę Labrosse: czy pani jest punktualna, porządna, zorganizowana, czy podróżuje z dużą ilością bagażu? I to jest oferta, oferta pracy, a jak się potem miało okazać nie tylko pracy, ale również matrymonialna, bo Rita została jego żoną. I to był strzał w dziesiątkę. Miłosz w pewnym okresie swego życia pisze w liście do Kota-Jeleńskiego: „Chciałbym kogoś w rodzaju Rity Gombrowicz. Kompetentna i wierna”. Ja zresztą analizuję i wczuwam się w sytuację Rity Gombrowicz. Jest mi bardzo bliska właśnie w tej narzuconej roli, której pozostała wierna. Ja mogę z niej wyjść, choć to też nie jest takie proste.

E.Z.: A na czym polega twoja wierność Miłoszowi? Czy też polegała? Jakiego czasu powinnam użyć?

A.K.: Polega. Chociaż Miłosz nie był moim autorem, chylę czoła przed jego człowieczeństwem. Właśnie przed tym, że był bardzo niespokojnym, niepokornym duchem, wielkim duchem. I naprawdę proszę mi wierzyć, to nie są tylko słowa. To jest świadectwo z jego oddziaływania, z jego obecności, z jego magnetyzmu, z jego walki, walki do końca, którą bardzo szanuję. Można o Miłoszu bardzo wiele rzeczy powiedzieć, ale jest bardzo niewiele osób, które walczą jak Miłosz. On walczył o sens. I jeśli sobie wynalazł taki sposób życia jak pisanie, to dla niego sensem było napisanie dobrego wiersza. Ale przecież

nie w pięknych słowach mieści się jego życie – to był człowiek bardzo skomplikowany, bardzo sprzeczny, jego demony były na miarę jego pojemnej natury, i człowiek, który miał bardzo silną ambicję bycia mistykiem. Znowu to nie są tylko słowa. Wszystko to przeżyłam i widziałam – widziałam, jak pracuje ambicja, która w końcu staje się pokorą. Jak pracuje arogancja, która uznaje swoją mniejszość wobec chociażby Oskara Miłosza, jego dalekiego krewnego, który potrafił zmienić swoje życie w *vita contemplativa*, w życie kontemplacyjne. Miał być może inną organizację psychofizyczną, miał być może większy dar wiary, to są bardzo tajemnicze sprawy i również o nich piszę w *Miłoszu w Krakowie*. I ostatecznie Miłosz nie dostąpił objawienia mistycznego, na które tak bardzo czekał. Ja wiem, że teraz opowiadanie o takich ambicjach jest jakby żywcem wzięte z *Imienia róży*, a nie ze współczesności, ale zaręczam, że kiedyś też tak było: ludzie żyli w ciekawych, targanych różnymi konfliktami czasach i opisywali je na wyspie Patmos jako *Apokalipsę*. Miłosz mówi bardzo prosto w swoich pismach: apokalipsa dzieje się teraz, uwierz w to. A jeśli uwierzysz, twoje życie automatycznie nabierze sensu. Będziesz wiedział, co ważne. Trzeba dużej pracy duchowej, by móc tak myśleć. On ją wykonał. I temu jestem nadal wierna, tej pracy ducha.

E.Z.: Były też trudne momenty. Tutaj, w tym mieszkaniu. Twoje uwagi, że nie był to łatwy człowiek, dzisiaj odbierane są jako chęć...

A.K.: ...umniejszenia go? Tak właśnie myślą ludzie mali, czy też mniejsi. Nie, Czesławowi Miłoszowi nic nie zaszkodzi. Przeciwnie, myślę, że jego realistyczny portret może wielu osobom pomóc i takie realistyczne portrety należy robić, bo każdy człowiek ma wady i zalety. I to jest punkt wyjścia do tego, o czym mówiłam przed chwilą – doskonalenia, duchowej pracy.

E.Z.: Piszesz zarówno o zaletach, jak i wadach. Jednak czytając twoją książkę, nie widziałam żalu czy pretensji. Ja cię podziwiałam.

A.K.: Ja sama siebie trochę podziwiam, kiedy ją czytam. To oczywiście żart, ale wielokrotnie już o tym mówiłam, że chroniła mnie niewiedza, fakt, że nie wiedziałam, co mnie czeka. Gdybym wiedziała, uciekłabym. Nie dałabym rady, nie mogłabym funkcjonować. A tak wychodziłam rano do pracy i musiałam kolejny dzień przeżyć dobrze.

Przyzwolenie na cudzą ludzkość jest też zgodą na własne wady. Jeśli Miłosz mnie zaakceptował, jeśli bliscy mnie akceptowali, dlaczego ja mam ich nie akceptować. Bardzo apeluję o to, by przestać patrzeć na ludzi w sposób dziecinny. A na wielkich ludzi w sposób naiwny i dziecinny. Bardzo proszę, żeby tych ludzi nie ściągać w dół, żeby nie myśleć o nich w sposób banalny, żeby najpierw zapytać, jak ogromną

pracę wykonali. Jeśli komuś zazdrościmy, powinniśmy najpierw zapytać, jak bardzo on na to zapracował. Wiem, że to takie abecadło humanizmu, ale to abecadło jest chyba ciągle aktualne. Teraz mamy XXI wiek. W 1975 r. Miłosz napisał fantastyczny esej *Noty o wygnaniu*. Pisał m.in. tak: wiek, w którym żyjemy, jest wiekiem wygnania. Wiek XIX był wiekiem emigracji zarobkowej. Żyję w Ameryce. Jest to kraj emigrantów. Ja sam jestem wygnańcem. I w tym esej, który jest wręcz wzorowym podręcznikiem dla człowieka, który znajduje się poza swoim krajem i poza swoim językiem, w tym esej, który Miłosz mówi: jesteś zawsze wygnańcem, zawsze, ponieważ sytuacja człowieka myślącego jest sytuacją samotnika i to ty musisz zobaczyć, czy ta sytuacja czegoś ci nie daje. Możesz mieć nowe oczy, możesz zobaczyć, czy twoje przeszłe życie miało sens, bo jesteś w nowej sytuacji. Czesław Miłosz był człowiekiem, który myślał o życiu bardzo praktycznie. I w tej ostatniej mojej książce chcę pokazać, jak życie codzienne, praktyczne wypiętrzało dzieło, jak to się dzieje, że żyje się tak samo jak inni, a jest się kimś innym, jest się człowiekiem niezwykłym. On się czuł też bardzo zwykłym człowiekiem. To prawda, walczył o uznanie dla swojej poezji, ale to jest zupełnie co innego. Walczył tak samo jak Gombrowicz, którego się odsądza od czci i wiary i mówi się, że dużo czasu poświęcił na walkę o swoją sławę. To błąd. Gombrowicz wiedział, że jest chory, że nie ma czasu. Wiedział, że tłumaczenia, że recenzje, że szum wokół autora mogą dopomóc wypiętrzyć dzieło. W przeciwnym wypadku ono, choć wyjątkowe, zginie pod mierzwą nijakości, banalności. Ci ludzie nie mają czasu do stracenia. Tak to się toczy właśnie – pozornie bezkarnie, a potem powstaje dzieło. Miłosz miał zresztą takie powiedzenie, takie żarciki różne (w książce te żarciki przytaczam, bo z nich też był utkany dzień). Często stawał przy tej półce (jesteśmy w głównym pokoju Miłosza, tu jest biblioteka) i mówił: no widzi pani – wystarczy tylko zacząć. Napisać jedną książkę, a potem już leci.

E.Z.: Miłosz nie prowadził dziennika, ale twoja książka nie ma zastąpić dziennika poety?

A.K.: Nie, nie ma go zastąpić. Zgadza się, Miłosz nie pisał klasycznego dziennika, ale w kajetach, które są rodzajem podręcznego warsztatu twórczego, zapisywał notatki, pomysły na wiersze, utwory w całości, notował swój głos, i są okresy, kiedy notował życie bieżące. Bardzo ciekawe, dlaczego to robił. Zdecydował się wydać *Rok myśliwego*, który jest zapisem jednego roku – 1987. W swojej książce piszę też o tym, dlaczego wybrał akurat ten rok, dlaczego on był ważny dla Miłosza. Wtedy skończyła się pewna epoka w jego życiu osobistym. W 1986 r. zmarła Janina, jego pierwsza żona, z którą małżeństwo, w sensie porozumienia psychicznego, skończyło się bardzo szybko. Oni byli ze sobą, mieszkali, wychowywali dzieci, dwóch synów i nie chcę powiedzieć, że byli sobie obcy, ale właśnie „skończyło się małżeństwo” – takiego sformułowania użył Miłosz w *Roku myśliwego*. To była bardzo skomplikowana relacja, od niej też nie można uciec i ją

również analizuję w mojej książce. Przy czym nie są to moje wolne wnioski: najpierw poznałam wszystkie możliwe źródła na ten temat, wszystkie wspomnienia, listy, zobaczyłam w wielu oczach ten związek i tę relację, pamiętam, co Miłosz mi mówił, pamiętam, czego nie mówił, które rzeczy zmilczał. I z tego próbowałam zbudować portret ich związku. A potem druga żona, Carol, z którą Miłosz nawiązał relację jeszcze przed śmiercią Janiny. To też było bardzo trudne dla domu Miłosza. Niełatwa była pozycja Carol, która została jego żoną. Wszystko to są dylematy ludzkie i one krystalizują w dzieło. Nie ma takich analiz, źródłowych analiz właśnie, w żadnej książce o Miłoszu, więc pomyślałam, że skoro już tyle wiem, to warto i o tym napisać. To były rzeczy istotne dla Miłosza.

E.Z.: W książce przytaczasz zabawną rozmowę ze swoim synem, w której mały Mikołajek zadaje pytanie: a jak ma na imię Miłosz?

A.K.: No właśnie. Przychodziły do Miłosza listy, które były adresowane „Czesław Miłosz”, zresztą Czesław się z tego bardzo śmiał i chyba to najbardziej lubił: „Czesław Miłosz”. W literaturze polskiej, być może mówimy już o czasie przeszłym, Czesław był jeden i Miłosz był jeden, to znaczy używano tego imienia i tego nazwiska wymiennie i wiadomo było, że mowa o chmurnym poecie z Grizzly Peak w Ameryce. Jego nazwisko stało się emblematem. Ale przytaczam też inną rozmowę, kiedy mój Mikołaj mówi: a kogo to obchodzi, dla kogo ty pracowałaś? Moi koledzy i tak myślą, że ty pracowałaś z Mickiewiczem. I ten skrót perspektywy jest wspaniały. Jestem z wykształcenia romantykiem, Mickiewicz jest mi bliski i mogę powiedzieć, że właśnie on z polskich poetów był Miłoszowi najbliższy, również jeśli o chodzi o polszczyznę. Słownik Mickiewicza i Miłosza to są te same słowniki, również Miłosz mógł powiedzieć: „Litwo, ojczyzno moja”. To jest to samo skomplikowanie, ten sam kontekst. Ich biografie ułożyły się też bardzo podobnie: wiele lat na obczyźnie. Ich pogrzeby były inne: stanowią ironiczną kodę ich życiorysów. Polska żegnała Mickiewicza jak wielkiego Polaka, chociaż Polski wtedy nie było, a Rzeczpospolita żegnała Miłosza w aurze skandalu. I to było dla mnie bardzo przygnębiające. Kiedy jest się w środku wydarzeń, kiedy musi się pracować, organizować na bieżąco, człowieka to tak nie przybija. Ale potem, kiedy to czyta, raz jeszcze, kiedy słyszy komentarze w mediach, no, to jest zwyczajnie ciężko. Wtedy można zadać tylko norwidowskie pytanie: „Coś ty Polakom zrobił, Czesławie Miłoszu?”

E.Z.: W swojej książce pod datą 1–5 czerwca 2010 r. zanotowałaś: „żyję w zakonie miłoszowym. Tak, chcę wypełnić, co trzeba, i przenieść się na inną misję”. Byłaś wtedy w Krynicy u Sióstr Służebniczek i napisałaś te słowa, przyglądając się ich pracy.

A.K.: Tak. Co skończone, to skończone. Czekam mnie jeszcze *Kalendarz życia i dzieła Czesława Miłosza*, ale to sobie zostawiam na jakieś późne lata. Teraz pora realizować własne plany. A chcę pisać. Piszę.

E.Z.: Udowodniłaś tą książką, że umiesz pisać. Pięknie to napisałaś, to jest niby-dziennik, niby kalendarium...

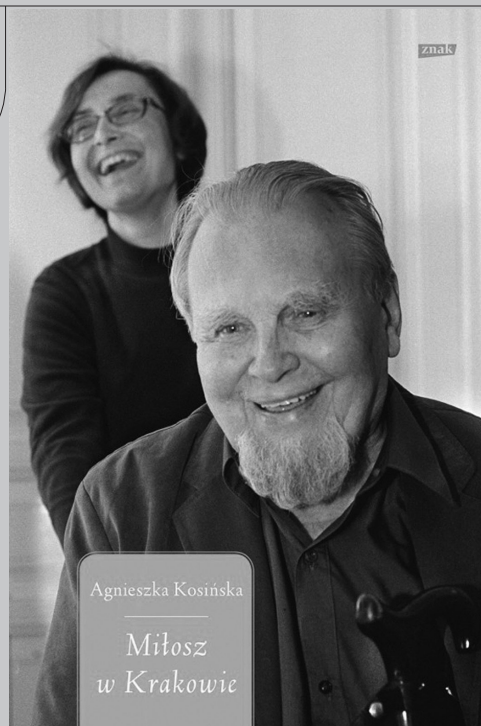
A.K.: Właśnie to było najtrudniejsze, naprawdę najtrudniejsze. To znaczy wygonienie literatury czy literackości z mojej książki, a jednocześnie, żeby czytelnik został dosłownie wrzucony w kosmos moich bohaterów, żeby doznał tej szybkiej jazdy bez trzymanki, czego ja doznałam, i coś zrozumiał. Ostatni wpis *Miłosza w Krakowie* dotyczący *Kronosa* mówi lepiej o tym, co teraz próbuję powiedzieć. Chciałam, żeby przede wszystkim został jakiś rodzaj czystego świadectwa. Oddać aurę ludzi, czasów, momentu, relacji. No, tak, łatwo się pisze. Ale to świadectwo trzeba wyrazić w języku. Jeśli się znajdzie ton, to praca jest łatwiejsza. I tak było ze mną. Bardzo się pilnowałam, żeby nie poniosło mnie pióro, żeby się nie wymądrzać, nie uwodzić erudycją.

E.Z.: Dodajmy może jeszcze jedno. Znamy biografię Czesława Miłosza pióra Andrzeja Franaszka, ale dzięki twojej książce mamy pewne uzupełnienie.

A.K.: Tak, postawiłam sobie zupełnie inne zadanie. Tak jak odpowiedziałam wydawcy: biografię pisze Andrzej Franaszek. Książka Andrzeja to monografia dzieła noblisty. Moja książka, choć również jest dziełem naukowym, to znaczy zrobionym przy pomocy naukowych narzędzi (źródła, archiwa, kalendarz) chce pokazać Miłosza – człowieka w dynamice, w warsztacie, w rodzinie. Do tych wszystkich miejsc i momentów miałam dostęp i znałam, że to może przewartościować i uzupełnić dotychczasowe widzenie tego pisarza. Uwydatnić wszystko to, co musi być uwydatnione i podkreślone. Oczywiście, wszędzie tam, gdzie czułam, że Andrzej powiedział za mało, za płytko, starałam się uzupełnić i pogłębić. Biografia Andrzeja kończy się na latach 80. i 90. A ja właśnie tu zaczynam, to znaczy w momencie, kiedy Miłosz postanawia żyć w Polsce. Moja książka opisuje kres życia, ale ponieważ Czesław Miłosz podsumowywał wtedy swoje życie, więc jest podróżą przez całą jego biografię. Jest jeszcze jedna rzecz: nikt nie notował życia Miłosza na bieżąco, co pozwala odtworzyć jego temperaturę.

E.Z.: Jest jedno sprostowanie dotyczące ostatniego zdania zapisanego przez Czesława Miłosza w jego kajecie.

A.K.: Tak, to faktycznie pewnie pomyłka redaktorska w biografii pióra Andrzeja. Jest to mocne ostatnie zdanie zapisane przez pisarza w ostatnim kajecie: „Siedzieliśmy po uszy w palącej się smole wywieszając ozory spragnione choć kropli wody”. Wody nie krwi. To się absolutnie ściśle łączy z tym, co powiedziałam o wielkiej ambicji Miłosza – pracy nad duchowością człowieka i ambicji bycia nie tyle poetą mistycznym, ile mistykiem. Jest w mojej książce rozdział o złu, o diable, i to o diable zmaterializowanym. Dla Miłosza diabeł nie był postacią ze słownika etnograficznego. To był tu i teraz czynny *agens*, działacz po prostu. Miłosz czuł działanie złego i o tym, jak on je czuł,



Oktładka książki *Miłosz w Krakowie*.
Fot. na okładce Joanna Helander

świadczy właśnie ten zapis. Znamy wiersz ostatni – wiersz *Dobroć*. To również bardzo ważny fakt, że ostatnim wierszem był utwór poświęcony Oskarowi Miłoszowi. Dyktował mi go Miłosz w grudniu 2003 r., potem już nad wierszami nie pracował, po prostu powiedział, że nie będzie już dyktował wierszy, pracował wyłącznie nad utworami prozatorskimi, właściwie nad takim rodzajem miniesejów, które znalazły się w *Spizarni literackiej*. 12 grudnia 2003 r. nadał temu wierszowi tytuł *Dobroć*. Słowo „dobroć” jest bardzo ważne, to słowo-klucz w języku Miłosza, w jego dziele i życiu. Ale to ostatnie zdanie, jakież ono jest wiele mówiące! Być może Miłosz już nie miał siły żyć, być może nie miał siły opierać się czemuś, o czym sądził, że może być silniejsze niż on.

E.Z.: Nie wszystko podałaś do druku.

A.K.: Wszystkie słowa Miłosza, rozmowy, komentarze, to wszystko jest. Nie ma być może opisu kilku sytuacji, ale tylko dlatego, że obawiam się, że nie mam dostępu do pełnego kontekstu. Ale jestem przekonana, że nie trzeba pisać wszystkiego, żeby powiedzieć wszystko.

Agnieszka Kosińska – absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, w latach 1996–2004 osobista sekretarka Czesława Miłosza, edytor, bibliograf, agent literacki, kustosz mieszkania i archiwum poety. Przygotowała do druku z rękopisów ostatni tom wierszy Miłosza Wiersze ostatnie (2006) oraz powieść science-fiction Góry Parnasu (2013). Autorka pierwszego bibliograficznego opracowania twórczości noblisty Czesław Miłosz. Bibliografia druków zwartych (2009).

Miłosz w Krakowie otrzymał nagrodę KSIĄŻKA ROKU 2015 przyznaną przez „Magazyn Literacki KSIĄŻKI”.

Ekaterina Perchenkova

Był raj

przełożył Krzysztof D. Szatravski

I
 co żywe zmarzło, w rękaw się skryło,
 krótka droga znika, za zakrętem ginie
 żywopłot; w ptasiej żrenicy
 przechodzień ma wielkość drzewa lub domu,
 płynących w bożonarodzeniowym dymie,
 i w całym świecie już więcej nikomu.
 chce oddychać, powietrze całować
 bezpieczne drzwi i niezniszczalne schody
 w pościel na zimne łóżko opada
 a oto nieszczęsna syrena wchodzi
 żałośnie przeklina korki i śnieg:
 nikt nie ma szansy doczekać mnie.
 zawsze był nikim i nikim wciąż jest
 wszyscy zapłaczą: jak dobrze, że gdzieś,
 tu w ziemskim raj, na skraju zimy,
 zanim być przestał, był jak i my.

II
 tyle życia w jednym człowieku
 niemożliwa sprawa.
 wszystko dokładnie przemyślałam.
 wyjmijcie je ze mnie proszę.
 czytałam, że to będzie bolesne
 i że będą skutki uboczne.
 proszę zrozumieć, jest to zupełnie niemożliwe.
 oczywiście, idiotka, bez jakiegokolwiek morale
 bez pojęcia o moralności.
 oczywiście, nie należało
 w ogóle wychodzić z pokoju,
 jak postępują wszystkie przyzwoite dziewczynki,
 dokładniej, jak nie postępują.
 obraz bezczynności
 wisiał w drewnianym kącie; gdybym
 była przedsiębiorcza, mogłabym się dowiedzieć,
 ile jest teraz warty,
 sporo, bez wątpienia.
 może być nawet cały majątek,
 choć to tylko deska, i gesso, i folia,
 i kryształki z żyrandola, i świeczka w puszcze po konserwie,
 kamień grobowca odwalony i tam go nie ma.

Ekaterina Perchenkova (ur. w 1982 r., w mieście Żukowski pod Moskwą) Absolwentka historii Uniwersytetu Moskiewskiego, pracowała m.in. jako redaktorka, dziennikarka, tłumaczka, nauczycielka gitary klasycznej. Zajmuje się rysunkiem, malarstwem i metaloplastyką. Jest redaktorem naczelnym wydawnictwa „Rosyjski Guliwer”. W 2012 r. ukazała się w Moskwie jej książka poetycka, zatytułowana Siostra Montgolfier.

jest, wie pan, chłopczyk Dima i dziewczynka Dasza,
 i wujaszek Lowa, i ciotuchna Luda,
 i wszyscy pozostali; tak zatem, póki oni są —
 niech pan ich ze mnie wyjmie, proszę.
 póki patrzą, że śnieg i że niebo,
 i swoje kociaki, wie pan, fotografują,
 i gotują zupę, a na sąsiednim palniku klej,
 bo jeszcze tapety, jeśli nie jest za późno.
 jeśli nie jest późno — niech będą: beżowe i w paski,
 i w kwiatuszki, proszę, albo nie będzie żadnych tapet,
 ale chociaż ściany, które można by kiedyś
 choć pomalować albo okleić gazetami.
 wszystko dobrze przemyślałam.
 słowo honoru, nie ma innej ewentualności.
 mam mieszkanie, wyższe wykształcenie,
 a nawet poczucie humoru,
 a możliwości, rozumie pan, nie.
 chcę optakiwać chłopczyka Dimę i dziewczynkę Daszę,
 i wujaszka Lowę, i ciotunię Ludę
 w trybie łączącym.
 byliby smagli i złotoocy,
 byliby — to całkiem inna sprawa,
 a jeśli w rzeczywistości — wówczas ja przecież umrę,
 proszę, niech pan mnie pożałuje.
 a on na to — mi nawet nie jest ich żal.
 A ty dokąd.
 Dokąd, powiada, się wybierasz.
 Już późno.

III
 gdzie metro nie zgaśło, tam chcą granit i kable chronić
 mama będzie krzyczeć, posłuchaj bo znów coś uronisz:
 nie lubię zalewania, obywatelu iwanow.
 czemu stoisz bez spodni, obywatelu iwanow?
 od mrozu jej czernieją i zgniatają się krawędzie,
 a pod jej zimnym sercem płonie droga złotą głębią.
 zabierz także i mnie, pókiś żywa, świadoma sprawy
 owiń w kłamstwo drogocenne, w futrzane swe rękawy,
 a ona uśmiecha się, milcząc, ale mnie nie widzi,
 gdy milcząc, spogląda, i po raz drugi mnie nie rodzi.

IV

Krąży nieustannie noc
 kołysankę śpiewa w głos
 straszny wuj nie przyszedł dziś
 jakże miła jest ta myśl
 będzie dzień i będzie chleb
 będą Oleńka i Gleb
 gdyby mnie nie było tu
 ktośby objąć ciebie mógł
 przewrócić się na drugi bok
 dość tych bzdur zapada zmrok
 a gdy przyjdzie w końcu dzień
 by z podwórka zabrać cię
 przyprowadzą ci twój los
 ewę z dziurą w czole wskroś
 pod sukienką taki znak
 i nazywa się nijak
 gdy w przeciągu sama stoi
 czarne jabłko trzyma w dłoni
 taka brzydka panna młoda
 precz zabrałaby ją woda
 sama takiej boję się,
 ot co.

V

była taka sprawa, taki czas, dzień powszedni albo bliżej nocy,
 w trolejbusie ścisk, na ulicy cicho i pusto,
 a obok metra sprzedawali jabłka, zielone i nie całkiem,
 żurawinę i kwaszoną kapustę,
 i zamarały okna, abyśmy rozkwitli przy nich jak dziwaczne rośliny,
 lub niby cudowne zwierzęta powstały przed nocą, barwną sierść strosząc,
 abyśmy mogli tworzyć udane drobiazgi, subtelne głupstewka,
 nikomu nie potrzebne utwory,
 aby nas nikt nie mylił z tymi,
 którzy wychodzą z biura dokładnie o szóstej,
 którzy śledzą nad chłodnymi dachami maleńki ślad samolotu,
 ot i minął dzień, mówią.
 co z nimi stało się później.
 utonęli.
 ktoś ty?
 skąd cię wzięli
 obejrzeć i wysłuchać do końca, i jeszcze troszkę pooddychać,
 i do domu chodzić obok innego domu, obok jego powolnego węgła,
 bowiem była dusza,
 cicha, ale była.
 i gdzie teraz dusisz się do rana
 z pierwszym jaki wpadnie w ręce, czy różnie?
 a może był to raj.
 a nuż to naprawdę był raj.
 lecz już za późno.

Elżbieta Boniecka-Milowicz, Kapliczka w Świątkach (fragment), akwarela, piórko



Anna Rau

Na początku było słowo i na końcu będzie słowo

Czy ktoś jeszcze pamięta baśń pod tytułem *Uroczone oczy*? Czy z opowieści urzekały, czarowały, zaklinały – własną mocą zmieniały w sposób nadprzyrodzony rzeczywistość. Erwin Kruk długo kazał czekać na swój kolejny tomik wierszy. Cierpliwość czytelników została jednak nagrodzona: mazurski poeta oddał czytelnikom poezję uroczną – urokliwą i urok rzucającą zarazem. *Nieobecność*. Wiersze są nostalgiczne, dojrzałe, słodkie niby dojrzały owoc odkryty nagle pod koniec jesieni.

Czy tytuł tomiku nie wskazuje, ku czemu przede wszystkim biegnie myśl Kruka? Owszem, choć „nieobecność” to słowo bardzo wieloznaczne. Zaprzecza Obecności, czyli samemu istnieniu – i to w tym najbardziej transcendentnym sensie. Wszak Absolut to Obecność. Podmiot liryczny w osiemdziesięciu sześciu wierszach, w niezwykle staranny sposób skomponowanych w długi ciąg skojarzeń, miejsc, portretów i autoportretów, przedstawia, jak to wszystko stopniowo staje się nieobecne. Tak jak i on taki się staje. Czyżby w ten sposób oddalał się od życia ku... Tak, ku wieczności. Czy bowiem ktokolwiek mógłby się zgodzić, że przeciwieństwem Życia i Czasu jest Wieczność i nieskończona Teraz? Nieobecność staje się w ten sposób wyzwoleniem od pętli nieustannie krążących Było-Jest-Będzie. A podmiot liryczny nie musi ukrywać, iż – jako że ma już wiele lat za sobą – wreszcie może po prostu głaskać w myślach swoją przeszłość. I że zrozumiał: wszystko, co było, tak miało być. Poeta pozostawia w swych tekstach lekko odczuwalne niedopowiedzenie, które ma wiele wspólnego z nieobecnością. „To, co ukryte, / Nie należy do życia. Do tego życia”. Ewidentnie nie ujawnia wszystkiego, co mógłby powiedzieć. Widać, że chce pozostawić w sobie jakąś część tajemnicy. Wcześniej „milczał, jakby był obrażony na język”, a gdy już przemówił, przedstawia w tomiku wiele ze swych doświadczeń oraz wskazówki egzystencjalne przeznaczone dla tych, którzy chcą go słuchać. Podobna gra ze sobą oraz z czytelnikiem – nienachalne choć niezaprzecalnie zdefiniowane prowadzenie ściśle wytyczoną drogą – przywodzi na myśl biblijną Księgę Mądrości.

Podmiot liryczny w *Nieobecności* nie rozlicza się z życiem w sposób stereotypowy. Jego spokojny strumień świadomości przelany w słowa ukazuje po prostu przemieszane obrazy: teraźniejszości, dzieciństwa, dojrzałości, młodości. Nadaje im taką samą wagę. Podchodzi do każdego z nich z jednaką czułością i wyrozumiałością, właściwymi dla dojrzałego wieku i nabytej mądrości. Wszak na spokojną akceptację rzeczywistości, otrzymanych doświadczeń oraz siebie – jakim się było i jakim jest – trzeba zażyć.

W wierszach pojawiają się również konkretne miejsca ważne dla poety – te w naszym regionie, jak i zagranicą, ale częściej warmińsko-mazurskie: Olsztyn, Morąg, Pasym, Szczytno... Podmiot liryczny podnosi je do rangi przestrzeni metafizycznych: w Olsztynie spoczywa kamień węgielny – podstawa „wszystkiego”, Olsztynek ze swym skansenem jest archiwum zbiorowej pamięci, Jełguń pojawia się jako ekumeniczny most między katolikami, ewangelikami i naturą – niczym osobną religią. Trzeba przy tym zauważyć, iż świat przyrody

z wysokimi obłokami, ptakami w czerni rządzącymi zimą, łąkami uginającymi się trawą, jest dla poety niezwykle istotny. Stanowi swoistą Obecność, od której – widać to – podmiot oddziela się, chcąc nie chcąc, swoim przemijaniem i w końcu ostateczną Nieobecnością.

Podmiot liryczny tylko w jednym jedynym utworze zdradza: „Tęsknota mnie przywołuje”, choć czuła nostalgia zawarta w poetyckich obrazach już nieistniejącego, pokazuje, że nigdy nie przestał i nie przestanie tęsknić. Jest to jego i każdej istoty – wszystko na świecie do czegoś tęskni – wielka egzystencjalna tajemnica, skoro „tęsknimy do tego, co nieodgadnione”. Ktoś mógłby więc spytać, czy w takim razie w utworach tak doświadczonego poety, wiecześnie tęskniącego, a do tego niejako znikającego na oczach czytelnika, nie pojawia się zgorzknienie, rozczarowanie światem, pesymizm, czy nawet cynizm. Wszystkie te emocje często pojawiają się w podobnych literackich podsumowaniach. A jak jest w *Nieobecności*? Czy nie wskazują na to takie utwory, jak *Mazur już nie ma, Ile jeszcze czasu, Nie mogłem wrócić* i inne? Czy nie ku temu zmiernają czarne lub zamglone motywy w poszczególnych wierszach: śmierć matki, obcość dawnych miejsc – choćby „jego” wsi, nadęty jubileusz zorganizowany przez „ludzi spoza cechu”, nawet ścięcie przez kogoś cieszącej go co rok kwitnieniem małej mirabelki. Strata, zapomnienie, przemijanie. „Moja dusza oswiała” – wyznaje w pewnym momencie podmiot liryczny. Jednak nie – podmiot liryczny, opisując swe doświadczenia, przede wszystkim przywołuje zwycięską Jasność. Własne życie podsumowuje zdaniem: „Nie miałem wrogów / nawet tym, którzy o mnie głupstwa gadali, / odmawiałem tego miana”. Święta teraźniejszość określa zdaniem: „Żyję najlepiej, jak umiem”. Zdradza też *clou* tomiku, *lignum vitae*, czyli jak jeszcze człowiek może wskrzeszać Nieobecność, która podobnie jak Życie jest Jasnością i Dobrem. Kiedy może być to potrzebne? Gdy nade wszystko pragnie się zniknąć, lub gdy po prostu nadchodzi czas, kiedy jest to najlepsze ze wszystkiego, co można uczynić. Jak więc – na zawołanie – oddać wieczystą Obecność i zniknąć? Pomaga w tym dobry i sprawiedliwy dla wszystkiego, co istnieje, Czas. To on podaje ludzkiemu umysłowi ucieczkę z pętli, zaszczepiając wszystkim chyba najbardziej niedocenianą z przyrodzonych własności – zapomnienie. Ono jest nie tylko Nieobecnością, ale i „pięknym krajem ludzkiego zdumienia” oraz „przestrzenią, gdzie nic się nie starzeje”. Oto przewrotny sposób na nieśmiertelność, metoda na Obecność w Nieobecności.

Nazwisko olsztyńskiego poety od dawna stanowi markę samą w sobie, coś w rodzaju „dobre, bo Erwina Kruka”. Publikacja nowych utworów po długim okresie milczenia to wyzwanie dla każdego twórcy – gdyż trudno jest się ścigać z samym sobą oraz dorównać własnej legendzie. Jednak człowiek, który ma rzeczywiście coś do powiedzenia, nigdy się na sobie nie zawiedzie, a kunszt poety takiej rangi, jak Erwin Kruk, nie przemija. Ciężko o *Nieobecności* pisać tak, aby nie zawstydzić się swojej nieporadności, tak jak trudno czytać te wiersze bez wzruszenia i zachwytu nad mocą i delikatnością słowa mazurskiego poety.

Żywoty prawie świętych

I. Rachunek sumień

Jadę w mrok. Na prostych silnik rzezi resztkami sił. Na łukach opony wyją, a zawieszenie z bolesnym wyrzutem jęczy: Nieee...eee... wytrzy...maaam, niee...eee wytrzy...maaam... Za oknami listopadowa noc, a ja wciskam staremu gruchotowi pedał gazu do oporu, jakbym chciał go zadusić i dorznąć w tej ciemności bocznej drogi donikąd. Bez świadków, bez emocji, bez wyraźnych motywów. Zaduszę kurwaaa... zajebię... ukatrupię... – zdają się cedzić do niego na zakrętach moje kurczowo zaciśnięte na kierownicy dłonie. Zdyyyyychaaaaaj... syczy na prostej moja noga, która ciężkim buciorem bezlitośnie wgniata pedał gazu w błoto podłogi. Nie ma litości. Nie ma współczucia. Empatia na poziomie zero. Ale ten kij ma dwa końce. Asfalt jest miejscami bardzo śliski. Zerojedynkowy scenariusz „albo on, albo ja” staje się coraz bardziej prawdopodobny, w miarę jak wskazówka prędkościomierza drży w tak dawno nieodwiedzanych rejonach. Tutaj śmierć może zcaić się za każdym zakrętem. Może kulic się w głębokiej koleinie. Szczerzyć żółte zęby z dziury wyrwanej w asfalcie albo chichotać z najbliższej kupki mokrych, przemarzniętych liści. Może pruć z naprzeciwka przypakowanym tirem, którego setka kolorowych lampek na kabinie pulsuje w rytmie techno. Do tego trzymany wątlami wodzami rozkołatanej kierownicy rupieć być może tylko czeka na chwilę, żeby pozbyć się tego głupca, który zmusza go do takich rzeczy. Rzucić się nagle w bok, wywinąć piruet i nagłym dachowaniem albo skokiem na solidne drzewo ubić wgrzyzającego mu się w kark robaka. Ale nie... Nie robi tego. Zamiast uciekać, stary kochany rupieć resztkami przyczepności wgryza się w asfalt i pędzi dalej. Dociera do niego, że koniec jednego z nas oznacza również kres drugiego. Musi to do niego docierać, bo do mnie nie dociera nic. On jeden musiał to tutaj i teraz zrozumieć.

Przez moment bladego rozbłysku widzę oczy w lusterku. Poza zmęczeniem są całkowicie puste. Nie ma w nich nic. A raczej jest... jest tylko zmęczenie i pustka. To oczy heroiniarza, choć żadna z moich żył nigdy w życiu nie powąchała nawet afgańskich specjałów serwowanych zimną igłą. Patrzą tymi pustymi, zmęczonymi oczami na ciemną drogę i droga zamienia się w tunel. Czarny asfalt zapada się w brudną, mokrą rynnę. Kikuty drzew wyginają się pokracznie,

wyciągają w moją stronę rosochate ramiona, całymi rzędami, coraz niżej pochylają się nad rynną drogi. Światła reflektorów rozpraszają się i zmieniają w słabowitą poświatę, która pobłyskuje już tylko lekko raz z lewej, raz z prawej strony. Pomruk silnika łagodnieje. Zaczyna dobiegać do mnie jakby z coraz większej odległości. Jakby ze studni, z oddali, gdzieś nie wiadomo, z której strony dokładnie. I wtedy powoli, jakby w zwolnionym tempie, potrząsam głową. Moje płuca, które lata temu chyba całkiem już zamary w bezruchu, biorą teraz głęboki wdech. Rynna drogi nieco się prostuje. Moja lewa ręka sięga do korbki bocznej szyby i opuszcza ją trochę w dół. Podmucha lodowatego powietrza chłuszcze mnie po twarzy. Droga się prostuje. Kikuty drzew zostają z tyłu. Dookoła ponure nocne błota listopadowych pól. Prawa ręka po omacku wędruje po siedzeniu pasażera. Wreszcie znajduje paczkę papierosów i zapalniczkę. Po chwili walki z podmuchami zza okna pomarańczowy świetlik przysiadła wreszcie na końcówce nabitej tytoniem bibułki i pulsuje w rytmie moich oddechów. Dym wypełnia co jakiś czas moje płuca, a za oknami niebo jest krystalicznie czyste. Blask księżycy i migoczących gwiazd obwieszcza wszelkiemu stworzeniu na Ziemi jego małość, mizerność i tymczasowość. Jak sztylety wbijają się w co wrażliwsze dusze i kręcą w ranach zwątpienia i poczucia bezsensu, tak charakterystycznego dla światów, które Bóg opuścił już dawno temu. Możesz nie patrzeć w niebo. Możesz odwracać wzrok i udawać, że cię tu nie ma. Nie uciekniesz. W taką noc światło gwiazd dopadnie cię w każdej kałuży i podsumuje: oto człowiek – mały, nieznaczący, samotny.

A ja jadę. Sam z tą nocą. Sam z tą drogą. Sam ze swoimi myślami i samym sobą. Tak samotny, jak tylko można być samotnym. Jadę, bo była to chyba jedyna alternatywa, żeby nie zwariować i nie umrzeć tej nocy. Cel, który sobie wybrałem, im jest bliżej, tym mniej wydaje się kuszący. Nie zatrzymam się tam. Nie zostanę. Pojadę gdzieś dalej. W jakieś inne miejsce. Przecież droga, która ma swój kres, traci sens. Jedynym sensem człowieczej egzystencji jest nieustająca podróż donikąd. Im dłużej żyję, tym bardziej przekonuję się, że to jedyna prawda, która tłumaczy moje istnienie tu i teraz. Jadę...

Między wiarą a religią

Jeżeli chcielibyśmy na mapie świata wskazać miasto, które mogłoby wieść prym w multikulturowości, bez wątpienia nasz palec podążyłby ku Morzu Tyrreńskiemu, do miasta, do którego ongiś prowadziły wszystkie drogi – do starożytnego Rzymu. Nie dziwi więc, że skuszeni dynamicznie rozwijającą się metropolią i wyobrażeniem lepszego życia ciągnęli do niego ludzie ze wszystkich prowincji. Nieuniknionym zatem było, że przynosili ze sobą swoją kulturę i religię. W tym miejscu jednak należy podkreślić, że ongiś wielokulturowość Rzymu była nieco inna niż ta w rozumieniu dzisiejszym. Stolica świata nikomu nie broniła wstępu w swoje mury i nie ingerowała w życie prywatne żadnego wolnego przybysza, natomiast bez wyjątku respektowała od wszystkich przestrzegania zasad rzymskiego prawa, a co się z tym wiązało – czynnego udziału w życiu religijnym Rzymu, które nie było sprawą prywatną, ale obowiązkiem każdego mieszkańca Wiecznego Miasta.

Na czym zatem polegała religijność potomków zbiegłego z płonącej Troi Enneasza? Warto już na samym początku oddzielić od siebie dwa, zdawałoby się z natury zespolone ze sobą, pojęcia, jakimi są wiara i religia. Wiara w starożytnym Rzymie była wyłącznie sprawą prywatną, nie podlegającą regulacjom aparatu państwowego. Mogło się z nią wiązać jeszcze jedno zjawisko zwane *superstitio*, czyli zabobon. Za zabobon uważano osobisty, „duchowy” kontakt z bóstwem – rzecz w naszych czasach całkowicie naturalna dla większych religii mono-teistycznych postrzegana była w Rzymie jako coś nienaturalnego, śmiesznego, a nawet niebezpiecznego. Jak zatem ma się to do przedstawionego powyżej upaństwowienia religii? Aby zrozumieć istotę religijności starożytnych Rzymian, musimy cofnąć się do początków miasta, czasu, kiedy nikt jeszcze nie mógłby nawet marzyć o późniejszej jego świetności.

Rok 753 p.n.e. to najważniejsza data w historii Rzymu, gdyż to ona wyznacza legendarny czas założenia miasta. Miasta, które już na samym początku zdefiniowało swoje priorytety: ciężką pracę na roli i uległość wobec rzymskiego prawa. Doskonale widać to w historii o dwóch braciach Romulusie i Remusie. Większość z nas wie, że jeden brat zabił drugiego, ale niewielu wie, dlaczego tak się stało. Otóż Romulus powziął postanowienie, że zbuduje swoją osadę, z której w przyszłości rozkwitnie miasto. Zabrał się do pracy i w pierwszej kolejności zorał bruzdę wytyczającą jej granice. Kiedy tego dokonał, poprzysiągł, że każda osoba, która przekroczy tę linię bez zezwolenia, będzie musiała zginąć za znieważenie praw nowo założonego miasta. Remus nie traktował przechwałek brata poważnie i postanowił z niego zakpić, przeskakując dopiero co wyoraną bruzdę. Romulus okazał się słownym człowiekiem i zrobił to, co nakazywało mu nowo ustanowione prawo – zabił intruza, który je złamał. Tym samym udowodnił, że nie ma wyjątków od rzymskiego prawa, dla nikogo.

Przez pryzmat tych dwóch elementów – poszanowania prawa i pracy na roli, która leżała u podstaw nowo założonego miasta – należy patrzeć na religijność Rzymian. Ziemia była czczona od początku – uprawiano ją starannie, do niej dostosowywano kalendarz całego roku, dni robocze i świąteczne. Nie dziwi zatem, że początkowo to związani z nią bogowie stanowili przedmiot kultu religijnego. W tamtym okresie Rzymianom zabrakło jednak bujnej wyobraźni Greków, a może zaważyło tutaj rzymskie, utylitarne podejście do życia, co objawiło się tym, że Rzymianie nie stworzyli żadnej narracji mitologicznej. W zamian za to powołali do życia bogów prostych, abstrakcyjnych i bezosobowych, podporządkowując im najdrobniejsze czynności. I tak np. poszczególni bogowie towarzyszyli każdemu etapowi wzrostu płonów. Także życiu drzewa (od jego posadzenia, poprzez wzrost, ścinanie, łamanie gałęzi, po wrzucanie do pieca) towarzyszyła odpowiednia ilość opiekunów. Samej czynności wejścia i wyjścia z domu patronowali aż dwaj oddzielni. Bogów tych była niezliczona ilość i aby zaskarbić sobie ich przychyłość, należało składać im ofiary, co czyniono zarówno w domach, jak i podczas uroczystości państwowych.

W miarę upływu czasu i pojawiania się w Rzymie ludności różnorodnej kulturowo panteon rzymskich bóstw przechodził rozliczne poprawki kosmetyczne. W skutek tych zmian wiele rzymskich bóstw zaczęło utożsamiać z bogami greckimi, wprowadzając do kultury ich kult i nadając im nowe imiona. Kolejny napływ obcych bogów miał miejsce w II w. p.n.e., kiedy to Rzymianie podbili Grecję. Wtedy do stolicy świata zawitał m.in. kult Mitry. Pomimo tych ogromnych przeobrażeń nie zmienił się rzymski stosunek do religii – tak jak było to wcześniej, religia pozostała sprawą państwową, a za uchylanie się od obowiązków z nią związanych można było ściągnąć na siebie niemałe kłopoty i konsekwencje o charakterze prawnym.

Kult religijny wiązał się z ogromną ilością świąt i towarzyszących im obrzędów. Ich organizacja była bardzo skomplikowana i określona przez szczegółowe wytyczne, które nigdy nie ulegały żadnym modyfikacjom. Z tego powodu w późniejszym czasie ludzie nie rozumieli już słów wygłaszanych przez kapłanów, bowiem łacina, jak każdy język (sic!), także podlegała (podlega) ewolucji. Każdorazowo obrzęd musiał odbyć się literalnie według narzuconego schematu. Jeżeli zdarzyło się, że kapłan odprawiający modły np. przejęczył się albo ktoś z obecnych podczas liturgii kichnął, zakaszał lub zrobił cokolwiek innego, co nie było częścią rytuału, cały obrzęd uznawany był za nieważny i wykonywano go od początku.

Każda osoba, która brała udział w uroczystości musiała najpierw przejść oczyszczenie w wymiarze cielesnym, czyli po prostu się wykąpać. Ta czynność nazywana była *lustratio* (skojarzenie ze znanym nam słowem jest tu jak najbardziej na miejscu). Podczas obrzędu Rzymianie modlili się na stojąco, przyklękali i unosili ręce, modląc się

do bóstw zamieszkujących niebo lub opuszczali je, zwracając się do tych na ziemi i w wodach. Zdarzała się także adoracja posągów przedstawiających dane bóstwo.

Nieodłączną częścią kultu były ofiary, które w zależności od potrzeb przyjmowały formę bezkrwawą lub krwawą. W pierwszym przypadku bóstwu ofiarowywano owoce, słodkie ciastka wypiekane w kształcie zwierząt ofiarnych (ten zwyczaj w późniejszym czasie coraz częściej wypierał ofiary krwawe) oraz mleko, wino, miód i oliwę.

W przypadku ofiar krwawych to gatunek i płeć zwierzęcia decydowały o tym, komu zostanie ono poświęcone. I tak np. Wenerze składało się gołębicę, Jowiszowi wołu, a jego żonie Junonie – krowę. Czasem zdarzało się, że składano ofiary z ogromnej ilości zwierząt jednocześnie. Wydarzenie to nazywano *hekatombami* (gr. ἑκατόμβη – ofiara ze stu wołów). Starannie wybrane (bez żadnej skazy) zwierzę przyodzabiano wstążkami, opaskami i wieńcami. Następnie doprowadzano je na miejsce kaźni, gdzie po wykonaniu stosownych obrzędów zabijano je, zbierano jego krew i obdzierano ze skóry. Każdą z tych czynności wykonywał specjalnie wyznaczony do niej kapłan. Następnie zwierzę przechodziło w ręce wróżbitów, którzy badali wygląd i układ wewnętrzności ofiary. Część zwierzęcego mięsa była palona, pozostała (większa) pieczona i zjadana. Po zjedzeniu zwierzęcia następował kolejny etap obrzędu, podczas którego pito wino, wylawszy kilka jego kropli na ziemię. Czynność tę nazywano *libacją* (łac. *libatio*).

W Rzymie istniało wiele kolegiów kapłańskich, z których każde posiadało ścisłe i jasne przepisy dotyczące rekrutowania w ich szeregi oraz spełniania obowiązków. Najważniejszym kapłanem był *Pontifex Maximus*, którego początkowo zawsze wybierał król, zaś za czasów cesarstwa jego rolę przejął sam cesarz.

Niewątpliwie ciekawą grupę stanowiły Westalki – kapłanki mieszkające w sąsiedztwie świątyni Westy i sprawujące pieczę nad świętym ogniem bogini. Westalek zawsze było sześć, ni mniej, ni więcej, a wejście w ich grono stanowiło dla rodziny, z której pochodziła dziewczyna, ogromny zaszczyt. Kandydatki na Westalki miały od sześciu do dziecięciu lat. Wybrane dziewczynki wiązały się ze świątynią Westy na trzydzieści lat. Przez pierwsze dziesięć przyuczane były do roli, którą miały pełnić w przyszłości. Przez drugie dziesięć strzegły świętego ognia, a przez ostatnie dziesięć wchodziły w rolę nauczycielek i teraz to one przyuczały młode adeptki. Po trzydziestu latach „emerytowana” Westalka mogła odejść ze świątyni i wieść zwyczajne życie. W praktyce jednak świat nie miał zbyt wiele do zaoferowania niespełna czterdziestoletniej kobiecie żyjącej przez trzydzieści lat w hermetycznym środowisku świątynnym, mającej mniejsze szanse na zostanie matką niż młodsze panny. Zapewne te czynniki miały duży wpływ na to, iż Westalki po zakończeniu służby niezbyt często decydowały się na powrót do świata i do końca swoich dni wiodły życie w cieniu świątyni Westy.

Westalki miały pod swoją opieką święty ogień płonący bezustannie w świątyni. Jeżeli jednak pozwoliły, by płomień zgasł, czekała je chłosta wymierzona przez *Pontifexa Maximusa*. Drugim, znacznie bardziej brzemienym w skutki przewinieniem, było niezachowanie przez Westalkę czystości. Jeżeli dziewica złamała śluby i uległa słabości cielesnej, nie było dla niej litości. Kobieta zamurowano żywcem (często z owocem haniebnego aktu na rękach) w grobowcu, w którym umierała z głodu i pragnienia. Od tej reguły nie było odstępstw. Ze ślubów czystości Westalki zwolnione były dopiero po trzydziestu latach służby w świątyni.

Może wydać nam się to osobliwe, ale starożytni Rzymianie w podejmowaniu istotnych decyzji bazowali w dużej mierze na wróżbach. W prywatnych domach na użytek własnej rodziny wykonywali je ojcowie, natomiast jeżeli chodziło o sprawy państwowe, urzędnicy zlecali je odpowiednim wróżbitom – żadna ważna dla państwa decyzja nie mogła zostać podjęta bez konsultacji. Była to oddzielna grupa, która nie zajmowała się składaniem ofiar, a jedynie interpretacją woli bogów. Nazywano ich augurami lub auspikami. Najczęściej wróżyli z lotu ptaków lub sposobu jedzenia... świętych kur.

Wyjątkowe znaczenie nadawano także różnego rodzaju znakom, snom, usłyszanym przypadkowo dźwiękom czy słowom – takie zdarzenie nosiło miano *prodigium*. Jedno z nich niemal przyczyniło się do tego, że data id marcowych 44 p.n.e. nigdy nie wpisałaby się na karty historii. Otóż w noc poprzedzającą śmierć Cezara jego żonie miał się przyśnić zakrwawiony płaszcz. Po tej marze kobieta uprosiła męża, by następnego dnia zrezygnował z wizyty w senacie, gdyż mogło mu grozić niebezpieczeństwo. Wówczas nawet imperator, którego cechował chłodny stosunek do wszelkiego rodzaju wróżb i znaków, uległ namowom Kalpurni. Możemy sobie tylko wyobrazić panikę, w jaką musieli wpaść spiskowcy, gdy sprawy obrały taki obrót. Nie znalazłszy innego sposobu, wszyscy razem przyszli do domu Cezara i po długich namowach, w przyjacielskiej atmosferze poprowadzili niczego niepodejrzewającego wodza do miejsca, w którym zaraz potem go zasztyletowali.

Nie sposób zamknąć kwestii religijności starożytnych Rzymian w kilku akapitach. Można jedynie nakreślić temat, pozostawiając Czytelnikowi otwartą drogę do dalszych dociekań. Jedno, o czym musimy pamiętać, to różnica, jaka zachodzi pomiędzy sposobem myślenia ludzi współczesnych, a tych żyjących ponad dwa tysiące lat temu. Pomimo usilnych starań, posiadanej wiedzy i ogromnej empatii nie mamy możliwości w pełni pojąć tamtej mentalności. W tym kontekście ciekawostką może być dla nas to, iż religia nie stanowiła karty przetargowej na scenie politycznej. Jej nierozzerwalne połączenie z polityką było oczywiste i nikt go nie kwestionował, co więcej, prawdopodobnie nikomu nawet nie przyszło to do głowy. Bóstwa trzeba było udobruchać i mieć po swojej stronie bez względu na cele polityczne, jakie sobie stawiano.

Miss Marianna, czyli Marianka tęskni

Marianna stała przy blacie roboczym lśniącobiącej kuchni w apartamentowcu. Biel blatu wyrtwale kontrastowała z czernią płyty indukcyjnej piekarnika Smeg z jednej strony i połyskiem rtęci ujmującego kształtnego zlewu z drugiej. Błat snuł się właściwie dalej, ukrywając pod sobą zmywarkę i szafeczki, aż do lśniącej, wielkiej lodówki. Kompozycji dopełniały: limonkowy ekspres do kawy i smukły czarny blender, a sztucze i inne przybory musiały się schować. Szlachetną czystość blatu dziś zasypała razowa mąka, wypałały jajka od kur z wolnego wybiegu, lekko przyprószyła sól z Himalajów i otłuściła dobrej jakości osełka. Marianna ugniatała kruche ciasto na tartę szpinakową, kiedy pierogi z soczewicą radośnie się gotowały, a niebawem do cięcia sży bakłażany i suszone morele. „Wiesz, ciasto ty moje kochane, na pewno będziesz pyszne, dodam trochę rozgrzewającego imbiru i dużo czosnku do szpinaczku, żeby moja wspaniała rodzina była zdrowa, i bedziesz przepyszną tartą. No wiem, że to nie tradycja wigilijna, ale nie łamiemy się, prawda, kulebiak z grzybami jest taki ciężkostrawny... Ale jeszcze mam dla ciebie niespodziankę: podzielę cię na pół i wiesz co? I z drugiej połowy zrobię tartę na słodko – co ty na to? Będziesz też tartą morelową. *More love* rozumiesz... bez tego nie ma świąt... magia. I zrobię ci zdjęcia na mojego bloga”.

Mała kuchnia małego mieszkania (niby to trzy pokoje, ale kiedyś budowało się inaczej, ciałniej) w wieżowcu miała już zaparowane mocno okna. Mama Marianny uparcie wycierała laminat stołu i chociaż drewnopodobna kiedyś powłoka dziś była już tylko jasnożółta, to w szarej plastikowej listwie jeszcze tkwiła lamówka brudu, pewnie od pieczarek z pasztecików. Kuchenka gazowa grzała na czterech palnikach, na szerokim parapecie ciężko pracował nad biszkoptem proź, a jeszcze tyle roboty! Warzywa do sałatki już stygły na lodówce, komponenty wszystkich dwunastu upartych dań już tu są! Niektóre już całkiem gotowe – gałeczki rybne tężeją z galaretą, a pierogi hyc – jutro tylko podsmazyć. Barszcz trochę kipiał – czerwone plamki z boazerii szybko trzeba powycierać, a z podłogowych płytek pcv zetrzeć resztki rozrzucone przez psa. „Widzisz, Mikuś, chyba musimy otworzyć lufcik. Zaparowało i światła nie widać. Tylko wylączę pierogi, ciasto i wyskoczę po chleb, bo później nie będzie, a ty, Mikuś, pilnuj domu. Acha, jeszcze drugi stoik kętrzyńskiego pamiętaj, żebym kupiła, bo do sałatki zabraknie. Tylko niczego piesku nie ruszaj! Ani mi się waż, zaraz wracam, jak nie będzie kolejki”.

Dryń dryń – no mniej więcej taki dźwięk z niewielkich zasobów *iphone’a* rozległ się w *open space* kuchnioskonalonu Marianny. Wentylacja delikatnie szumiła, ale Marianna usłyszała i ochoczo podbiegła do telefonu. „Dzień dobry kochana, co słychać? Trochę jestem w rozjazdach, wiesz, chyba się w tym roku już nie zobaczymy, to życzę najlepszego! Darz bór i dasz radę, jak mawiają moi piarowcy, no najlepszego dla

całej rodzinki. Słodkiego Mikołaja itd. No my to do teściów i w góry przy okazji, no tak, no kupię jakieś pyszności od Bliklego i Gesslerowej, bo teściowa słabo gotuje i śmigamy, to pa!”. I tyle. Marianna zdążyła tylko: „Nawzajem, dziękuję” i już po rozmowie z byłą pracodawczynią. Można wracać do ciasta i dalej nie rozumieć ludzi. Ciasto chociaż słucha i nie przerywa... „No widzisz, kruche ty moje, ta Stella, co dzwoniła, jest jakaś dziwna, nie je, pije activię i ciągle ćwiczy albo *cross fit* albo mięśnie Kegla. Wolę już ciebie pougniatać”.

Drrrrrrrrrr – dzwonek do drzwi zagłuszało szczekanie Mikusia. „Już idę” – woła mama Marianny. „Pani kochana, potrzebna siekiera, mąż znowu takiego wielkiego karpia kupił, a ja przecież nie mam czym, bo tłuczek za mały i jak co roku do Pani przychodzę po prośbie” – stojąca w drzwiach Kowalska z ósmego ze średniozaawansowaną chorobą Basedowa (tak przynajmniej podejrzewali złośliwi) zawsze wyglądała na zaskoczoną. „No, Pani Kowalska, to chyba za rok ja już Wam taką siekierę sprezentuję, bo jak to tak pożyczać ciągle. No niech będzie, że pożyczę, ale to już ostatni raz i proszę umyć dokładnie. Ja nie wiem, jak wy możecie te karpie tak...” – mama Marianny wręczyła sąsiadce wyszperaną spod zlewu siekierę i mocno zatrzasnęła drzwi, ale nie ze złości – inaczej nie dawały się domknąć jak tylko silnym zamachem. Pogłaskała niezbyt towarzyskiego kundelka. „No już dobrze, Mikuś, poszła już, wracamy do roboty, trzeba jeszcze sernik wstawić i galaretkę na biszkopt rozpuścić, chodź do kuchni to coś dobrego dostaniesz...”.

Choinka już ubrana, to było całkiem łatwe, Marianna musiała tylko zarzucić światełka na modną w tym roku choinkę ze sklejki przyobleczonej w mech z czerwonymi i złotymi ozdobami. Wystrój salonu zwiastował bardzo miły wieczór: czarowne lampeczki tu i tam, czerwona, filcowa skarpeta i eko renifery z gałęzi dodawały uroku. Składanka najlepszych krismesowych piosenek przygotowana przez szwagra wybrzmiewała już od kilku dni, wprowadzając domowników w nastrój czułych spojrzeń. Biały obrus, zastawa z Francji, piękne serwetki wyhaftowane jeszcze przez Babcię Bunię i słodkie drobiazgi przy każdym nakryciu... Perfekcyjna Pani Domu byłaby z Marianny dumna. Mieszkanie przestronne i zawsze piękne dziś wyglądało wyjątkowo. Na stole pyszności – dwanaście pieczołowicie wypracowanych cudów, dwanaście nakryć i jedenstu uczestników kolacji.

Choinka ubrana w eneradowskie lampki i brokatowe bombki stała mocno na ziemi. Właściwie była trzymana przez wyspawanych przez Tatę Marianny krasnali i pilnowała toreb z prezentami. Stół rozłożony na dwanaście pysznych potraw i dwanaście nakryć dla jedenstu smakoszy ledwo to wszystko pomieścić. Stukanie talerzy, szturchanie się dzieci i ogólny gwar zagłuszały kołędę z kaseciaka, może to i lepiej, bo kaseciaka była mocno zdarta. „No, Marianko, jedz, jedz...” – zachęcała dumna

ze swojej pracy Mama. „Musisz wszystkiego spróbować”. Dziewczynkę najbardziej przerażały łupiące z talerza ryby, ale dla świętego spokoju skubnęła i karpia. Wiedziała, że tradycją kobiet w jej rodzinie było wybranie ulubionej potrawy wigilijnej ze stołu matki i przygotowywanie wszystkich wybieranych przez poprzednie pokolenia dań. Praprababcia Marianny wniosła w rodzinny przekaz przepis na superkompot z suszu. Babcia Bunia robiła sałatkę „buraki-ziemniaki” jako wspomnienie swojej Mamy, a że sama była świetną kucharką, wybranie dania z jej stołu było dla Mamy Marianny strasznie trudne. W końcu wygrały paszteciki z pieczarkami. A Mariance co roku najbardziej smakowało coś innego, a w tym roku w ogóle cała ta wigilia wydawała jej się obciachowa i czekała tylko na książkę, którą miała dostać od rodziców.

„I'm driving home for Christmas...” – sączyło się z głośników, śnieżek za wielkimi oknami zgrabnie prószył, cała rodzina rozgadana i szczęśliwie najedzona, dorośli dyskretnie luzują paski w spodniach i popijają winko, a dzieci kompot według przepisu praprababci Marianny. Ding ding – dzwonek do drzwi. „A kto to, czyżby... święty Mikołaj?!” – partner Marianny gromkim głosem przerwał dzieciom

spór o ulubioną aplikację i otworzył zamasyżycie drzwi. „Hoł, hoł, hoł – czy są tu grzeczne dzieci?” – wynajęty przez agencję skośnooki Mikołaj wtoczył się z wielkimi prezentami, a za nim wtarabanił się niezgrabnie młody labrador z kokardą. „Pies!!!!!!!!!!!! Hurrrrrrrrrraaaa” – nastoletnia już córka Marianny, która wierzyła ciągle w Mikołaja i napisała do niego w liście prośbę o psa, ze szczęścia zapiszczała i rzuciła się na zdumionego zwierzątko. Pies uciekał za choinkę, ale poślignął się na parkiecie, zahaczył o renifery, przejechał z nimi przez salon i klasycznie, jakby oglądał codziennie Flipa i Flapa, pociągnął ze stołu obrus. Kompot z suszu, resztki sałatki „buraki-ziemniaki”, paszteciki z pieczarkami i ulubiony przez Mariannę sernik z rodzynkami nieżyjącej już Mamy, plus oczywiście inne niedojedzone potrawy i francuska porcelana... na dywanie, ścianach, koszulach, sukienkach, rozbawionych buziach, nawet biały blat oberwał w drugim rzucie, kiedy wszyscy próbowali ratować sytuację... Marianna stała pod oknem. Stała, patrzyła na rozbawioną rodzinę i estetyczną klęskę mieszkania... Chłoneła to z wielką ulgą. Poczucia się jak w domu rodziców, tak jakoś perfekcyjnie niedoskonale. Za tym dzisiaj tęskniła.

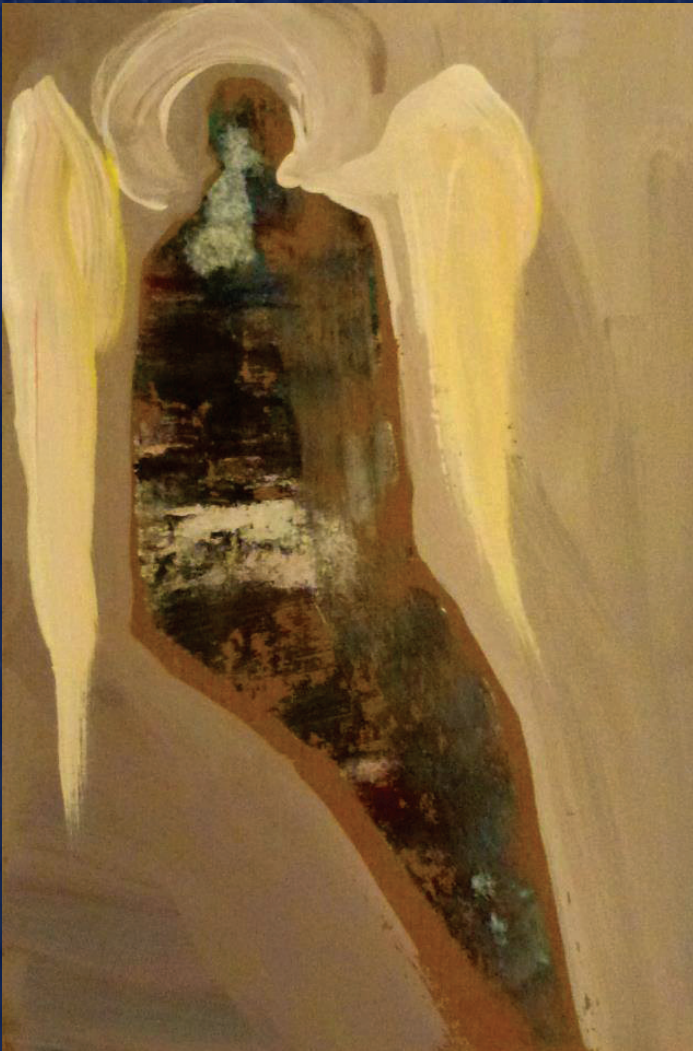
Elżbieta Boniecka-Milowicz, Kościół w Jonkowie św. Jana Chrzciciela, akwarela, piórko



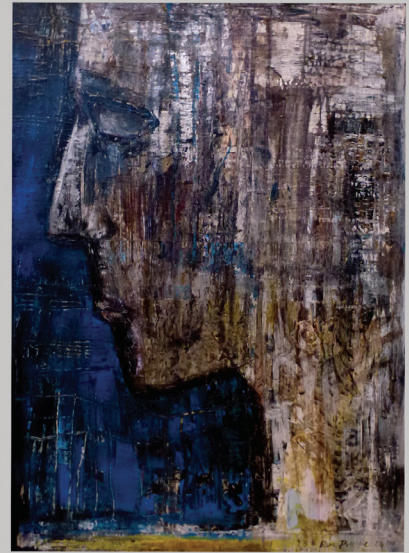
Eva Pohlke

Urodziła się w Kętrzynie, studiowała na UWM w Olsztynie. Uczestniczka wielu wystaw indywidualnych i zbiorowych w Polsce i za granicą: Białoruś, Litwa, Rosja, Niemcy, Szwajcaria, Japonia. Organizatorka projektów artystycznych, plenerów malarskich, warsztatów, wystaw i imprez kulturalnych. Aktywna działaczka Stowarzyszenia B' Jachad i Stowarzyszenia Wspólnota Kulturowa Borussia. Nauczyciel arteterapii i malarstwa. W 2008 r. otrzymała Nagrodę Prezydenta Miasta Olsztyna za upowszechnianie i ochronę Dziedzictwa Kultury, w 2009 r. była Stypendystką Urzędu Marszałkowskiego Województwa Warmińsko-Mazurskiego, w 2010 r. została wyróżniona Nagrodą Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskiego w dziedzinie kultury. Obecnie mieszka i tworzy na Litwie.

„Malarstwo jest dla mnie koniecznością i powołaniem (...). Mimo to sztuka nie jest moją religią. Najpierw jestem człowiekiem, potem malarzem. Artysta nie może tworzyć, będąc oderwanym od życia. Obraz musi być potrzebą i pragnieniem... jestem, więc maluję. Kocham, maluję... więc jestem...”.



Tryptyk Hioba



Mariusz Moritz

Powrót królów

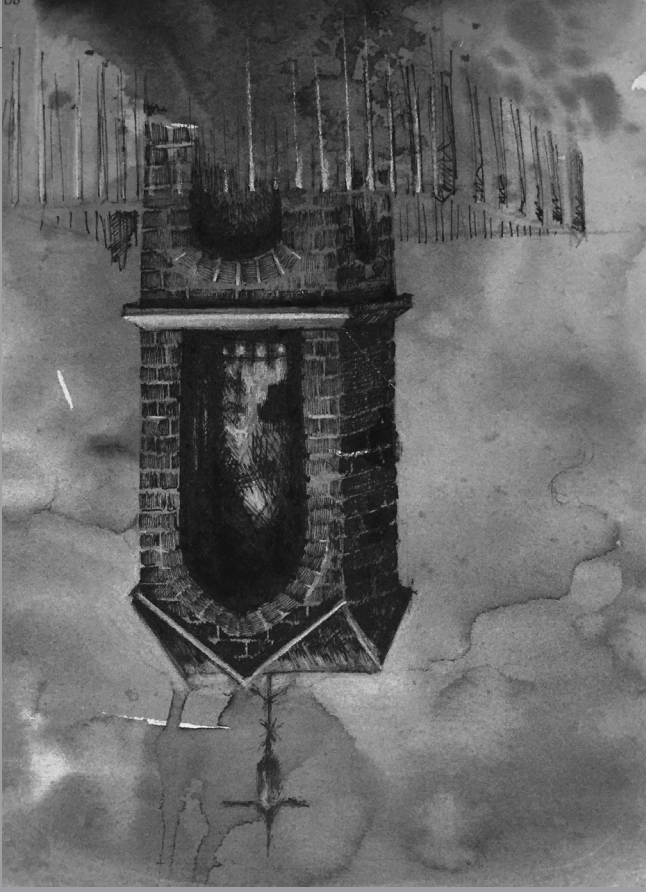
Od wieków ludzie obchodzą ważne rocznice, uroczystości religijne i święta. Jedne wypierają drugie, celebrowanie innych traci sens. W wielu kulturach czczono niegdys siły przyrody oraz niezrozumiałe dla wielu procesy i zjawiska w niej zachodzące. Człowiek oddychał w rytm bicia olbrzymiego serca natury, podporządkowywał się jej i niejednokrotnie bał – bał niewyjaśnionego. Dato się odczuć, że jest jej nieodpowiadał.

Na ziemię przez nas obecnie zamieszkaną w średniowieczu dotarło chrześcijaństwo, wprowadzając nowy porządek. Wydaje się, że wtedy to najwiękksza liczbą „starych świat” została wymieniona na nową – chrześcijańską. Czczenie prastarych bóstw i sił przyrody – choć nie bez oporu – przepadło w otchłani dziejowej. Cały świat chrześcijański wyznawał tego samego boga, czcił tych samych świętych. Religia stała się czynnikiem kulturowym, stanowiąc podstawę poszczególnych kultur. Została po części zatracona odrębność poszczególnych narodów na rzecz tworzenia nowego ładu. Mimo wielu różnic i odstępstw, bezwzględnie likwidowanych, religia jednoczyła ludzi, nie zawsze dobrowolnie. Wyznawanie innych poglądów niż obowiązujące wiązało się z bezwzględnym potępieniem. Wszystkie dziedziny sztuki miały ściśle związek z chrześcijaństwem. Także szkolnictwo w przeznaczonej części było domeną duchowieństwa, co z natury

Wpracowana przez wieki pozycja kościoła i religii zaczęła w XX stuleciu tracić na znaczeniu. Związane jest to najpewniej z dynamicznym rozwojem cywilizacyjnym, zwiększeniem samoświadomości ludzi oraz postępującą laicyzacją życia. Zmieniły się wartości, którym hołdujemy, a spośród nich pewne rozumieamy inaczej. W tym poszukiwaniu nowego odpracamy często do góry nogami to, do czego przykadaliśmy, a spójność nich pewne rozumieamy inaczej. W tym poszukiwaniu obraz i nie pozwała dostarczyć pozytywów. Odrzucenie uformowane przez lata tradycji, dobrych kanonów i wzorców skutkuje pojawieniem się bylejakości w wielu dziedzinach życia. Siedząc w fotelu przed telewizorem telewizyjnym, siedząc fejsbukowo, we poczynania naszych „najomych”, mając nos zanurzony w smartfonie, otrzymujemy przekłamany obraz rzeczywistości. Brulionujemy w niej dopóki nie zaczniemy dostarczać, że świat stworzony wokół nas jest na pół sztuczny i nieprawdziwy. Wtedy zaczynamy poszukiwać nowych dróg i ścieżek i stwierdzamy, że to czego szukamy już kiedyś było, wydarzyło się, istniało. Sięgamy głębiej, szukamy myśli przewodniej w naszym zapętłonym świecie. Pragniemy powrotu do lat dziesiętych, szukamy zapamiętanych smaków i zapachów. Opowieści o dziadkach i rodzicach, o tym „jak to kiedyś było” nagle zyskują na wartości. Siedzimy poczynania osób, które pielęgnowały stare tradycje i obchodzą i okazuje się, że my też tak możemy. Niezależnie od tego, jaki mamy światopogląd i w co wierzymy, możemy bez ograniczeń

W takim procesie uczestniczyć, zwłaszcza że człowiek XXI wieku potrafi być szczerze otwarty. Wszelkie inicjatywy związane ze Świętem Trzech Króli nabierają z każdym rokiem rozmachu, a dzieje się to z większą siłą, gdyż dzień ten stał się po wielu latach dniem wolnym od pracy. Barwne korowody są okazją do rzeczywistych spotkań z drugim człowiekiem i wspólnego przeżywania. Kolorowe przebrania, bogata scenografia, melodyjne kolędy, zaangażowanie wielu środowisk powoduje, że ludzie czują, że uczestniczą w czymś ważnym, ciekawym, atrakcyjnym. Jest to okazja do zabawy, pobudzenia wyobraźni i poczucia się współtwórcą wydarzenia. Emocje temu towarzyszące są magnesem, który przyciąga nawet tych, którzy odzwyczajają się od wszelkich praktyk religijnych. Okazuje się, że Święto Trzech Króli oprócz wymiaru religijnego ma także charakter świecki. I skłania zarówno do zabawy, jak i do głębszej refleksji.

Bądźmy otwarci, nie myślimy stereotypami, szukajmy prawdziwych źródeł radości w otaczającym nas świecie. Odkrywajmy także to, co może już kiedyś zostało odkryte...



Elżbieta Boniecka-Milowicz, Kapliczka warmińska, akwarela, piórko

Bobby B. Barlow

Kamień ofiarny Warmów, czyli historia zabytkowo-traumatyczna

Świata. Szędem w stronę ośztyńskiego zamku. Mijając kościół ewangelicki, zauważyłem staruszkę, który nieporadnie próbował wciągnąć na wózek duże kamienie leżące na trawniku przy bramie kościelnego podwórka.

– Może pomóc? – zapytałem, zaskakując się tym pytaniem. Zazwyczaj nie jestem skory do pomocy, ale ów staruszek wyglądał na potrzebującego.

– A, chętnie – powiedział. – Wiesz pan, co to są za kamienie? – zagadnął po chwili staruszek. – To kamień ofiarny plemienia Warmów. Pewnie myśliłsz pan, że skadałi na nim krwawe ofiary z dziewic, ale nic bardziej mylnego. Warmowie byli plemieniem myśliwych i rolników, a nie krwożerczymi antychrystami. Skadałi na kamieniu ofiary ze zbóż, ziół czy kwiatów, a sporadycznie i od wielkiego święta tylko drobne ofiary ze zwierząt, głównie ptactwa domowego. Ale jak pizybyli tu chrześcijanie, to swoim zwyczajem w miejscu, gdzie oddawano kult pogąnskimi bożkom, stawiali kościoły. Więc ludzie przychodzili w to samo miejsce, skadałi te same ofiary, tylko już na innych ofiarach. I tak też było tutaj. Przysli misjonarze i z ofiarnego kamienia zrobili ofiarny chreścijański. Przed budową murowanego kościoła nakazano usuniecie kamienia ofiarnego. Robotnikom nie w smak było dzwiganie ciężaru, więc ktośś sprytny wymyślił, że będą go podkopywać, by ten oswał się coraz niżej. W ten sposób go zakopano.

– Skąd pan to wszystko wie? – zapytałem, nie wtrzymując już dłużej.

– Byłem archeologiem i głównym archiwistą kapituły, dopóki nie przeszedłem na emeryturę – wyjaśnił. – Wiesz pan jak to jest na emeryturze. Bieda z nędzą. Człowiek

chciałby dorobić, ale nie ma jak. Ale jakiś czas temu, zupełnie przez przypadek, dowiedziałem się, że jest taki Szwed, który ma hysia na punkcie pogąnskigo kultu. Zapropionował mi sprzedaż kamienia ofiarnego plemienia Warmów i on się zgodził. No, może troszkę podkoloryzował kwestię ofiar na nim skądanych, ale nie o to przecież się rozchodzli. Suma summarum pewnie słyszał o wżamaniu do tego kościoła dziejchichniski w swojej książce *Nie magiczny – do prostu Olsztyn* poświęcił temu zdarzeniu nawet jeden rozdział, pisząc, że to poszukiwacze szukali pod ofiarnym zakopanego skarbu. A prawda jest taka, że już wtedy chciałem wykraść ów kamień. Niestety w wyniku krótkiego posćigu rozłutk się, spadając z naczepty ciężarówki. Ksiądz biskup chciał zatuszować sprawę i dla mediwów udao się to robić, ale nie dla sądu. Skazałi mnie na dwa lata i wysłałi do zakładu karnego w Barczewie. Tam trafiłem do celi w starej częścli i zaciekawilem się nadokiennym łukiem, a wżaszczaja go zabytkowymi cęglami. Wiesz pan, jako archeolog interesowałem się tym. Niestety są uznal, że wyjąłem te cęgly w zamiarze ucieczki i dostalem dolewkę, kolejne dwa lata...

– Zaraz, zaraz – zreflektowałem się. – A w ogóle ma pan pozwolenie na to, by zabrać te kamienie?

– Stuchaj pan, gđbđym takowe miał, nie starałbym się wywieźć ich stąd o świcie, gđy wszyscy jeszcze śpią...

Uciekłem stamtąd bez słowa.

Gdy kilka dni później przechodziłem z łukiem obok kościoła ewangelickiego widziałem, że kamienie, które ze staruszkim próbowałem ukraść, stały na swoim miejscu. W gazetach nie znalazłem wżmanki o próbie ich grabieży. Jednak co jakiś czas jeden z tych najmniejszych kamieni znika, a po kilku dniach wraca na miejsce.

choćby zaparkali i świecę, ale oczy szybko przwykły do ciemności. Nie do takich rzeczy musiałem przwykać.

W każdym razie, schody były strorne. Jak urwisło nad bagnami. Szłam ostrożnie, ale wżierałem się nad będogi, łózka. Gdźś z oddali przebijal pienie podłogi, łózka. Gdźś z oddali przebijal się rechot zab, cykanie świerszczy. W powietrzu zawrował sfođki zapach maciejki. Pamietałem to nasze ostatnie lato. Ile mogłam mieć lat? Cztery? Byłyśmy tylko ona i ja, a wżiadzy spadały nam na życzenie. Wżasnie miał drugli, ostatni tydzień naszego mahych wakacji na Mazurach. Czerwcowa, parna noc. Nie wiem, czy tak było, tak to po prostu sobie wyobrazam, bo pamietam tylko wrazenie, jakiś obraz dość niewyraźny, zapach. Nie mogłam zasnąć. Może bardziej nie chciałam, niż nie mogłam.

A ona, jej ciepłe dżone, miękki gtos, zapach jej włosów, była tak blisko. Wtedy już wiedziałam, że umiera. Ponad rok wczesniej poslibhaja go, załahwła wszystkie formalności, podpisała wszystkie papiery. Czas dał nam jeszcze kilka tygodni. W swojej radości nie widziałam, że znika. Biegałem wtedy na Mazurach jak szalona po łakach, łapałem koniki polne do sfođków i skradałam się za ropuchami. A ona śmiała się i mówiła: „Nie chadzał nigdy za głosem zab, to podstępne stworzenia!”, łapała mnie i łaskotała. „Będą cię chciały wciągnąć do swojego bagiennego króllestwa, taka jesteś śliczna! A ksiądz Ropuch będzie cię chciał pojąć za żonę! I będziesz musiała spędzić jego zyczenia!”, śmiałyśmy się obie. Śmiałyśmy do łez.

Rechot zab miewszat mi się w głowie z jej sfođkami. Im niżej schodziham, tym bardziej cichy świerszcze, a przybierały na sie szepoty... teraz już nigdy nie będziesz sama, obiecowała mi, kiedy już wiedziałam, że umrze. Ten męzczyzna miał być gwarantcją mojegoszczęścia i bezpieczeństwa. Widziałam to w jej szkianych oczach. Wierzyłam jej szkianym oczom, jej łamiącemu się głosowi wierzyłam. I temu z początku wierzyłam. Przecież ona go wybrała. Przecież obiecałam jej, że będę grzeczną, że będę dzielna, że będę go słuchala. A później jej szepot zasłuchi inny, ten doprzezdżony skrzipieniem podłogi...

Ciii, cichutko, no już, nic się nie dzieje, Zabciu. Przecież obiecałaś mamusi, że będziesz grzeczną dziewczynką.

Międzyczas

nabrało wyrazu, kiedy pojawiła się biblioteczka, i smaku, gdy odkry-

łam kuchnię.

Przywykłam do dźwięków Międzyczasu, do skrzyplenia podłogi i re-
chotania dochodzącego zza okien, które również otwierały się jedynie
do wewnątrz. Nie często zdarzało mi się je uchylać. Było wystarcza-
jąco głośno przy zamkniętych. Czasem tylko zerkałam na pola maków
przed Domek. W kilka chwil potrafiły ukohysać mnie do snu.

Noc, podczas której odnalazły mnie drzwi do piwnicy, nastąpiła
dużo później. Zdążyłam się już na swój pokretny sposób zadomowić,
oswoić dźwięki i dawało mi się, że jestem znów bezpieczna. Tylko
te drzwi – one były jak z baśni o Sinobrodym – ja po prostu wiedzia-
łam, że w piwnicy wiszą trupy. Bo, wstyd się przyznać, znalazłam te
drzwi wcześniej, sporo wcześniej.

Wtedy pierwszego dnia. Zasłoniłam je szafą, żeby ich nie widzieć.
Były w moim pokoju na piętrze. Na ścianie naprzeciwko lustra. Z po-
czątku myślałam, że to drzwi do łaźni. Zie się czułam po tym
wszystkim, chciałam się oczyścić, wypóźnić i jakoś tak bezrefleksyj-
nie, odważnie, po dziecicęmu nacisnąć na klamkę. Ustąpiła. Tylko
przez ułamek sekundy widziałam ten ciemny korytarz, strone schody.
Wystarczyło. Zatrzasnęłam drzwi i to wtedy odkryłam dźwięki. Tak, to
było wtedy. Wtedy usłyszałam skrzyplenie podłogi, jakby czyjeś kroki
oddalały się od mojego łózka.

Jestem, to znaczy byłam, dzielna dziewczynką. Z czasem zapo-
mniałam o piwnicy. Z resztą, odkąd Międzyczas zyskał nowe po-
mieszczenia, tam spędzałam czas, a mój pokój na piętrze zamknęłam.
Myślałam, że to wystarczy. Aż pewnej nocy czarne drzwi po prostu po-
jawiły się przede mną i wiedziałam, że to są te drzwi, drzwi do piwnicy.
Tym razem były zamknięte na klucz, ale to w niczym mi nie przeska-
dzało, bo miałam ten klucz stale przy sobie, od lat... zawieszany czar-
nawłosem, że ten moment kiedyś nastąpi, ale... chyba zawsze
podjęłam decyzję, gdybym miała sama podjąć decyzję. W pierwszej
chwili przerażeniem się, odrwóciłam, zaczęłam uciekać. Szybko zdałam
sobie jednak sprawę, że nie było sensu się chować. Drzwi po pro-
stu wyraściły przede mną, a klucz ciężki coraz bardziej. Trzeba było
w końcu przekroczyć ten próg.

Kiedy zdjęłam klucz z szyi, poczułam się lekka. To dziwne wraze-
nie zabawiło strach czymś na kształt radości. Ale takiej jakby sprzed-
lat, zapomnianej. Klucz nadal ciążył mi w dłoniach, a jednak zamiat-
ałam ciemności stanął mi w myślach obraz matki. I wtedy pierwszy raz odkąd
umarła, pomyslałam, że to nie była jej wina. Że przecież starała się spę-
nić daną mi obietnicę. Po prostu źle wyszło. Nie potrafiłam zdefiniować
tego uczucia, ale najbliższe było mi chyba wybaczenie i zrozumienie.
Wzięłam głębok oddych i poszłam. Było dość wilgotno. Grząsko.
Panował mrok. Nie przyszło mi do głowy, by wziąć ze sobą latarkę czy

Nie chadzał nigdy za głosem żab – usłyszałam dawno temu od kogoś,
kogo wtedy jeszcze znałam. Nie postuchałam oczywiście. Tak znała-

łam się tu, w Międzyczasie.

Mam tu swoje łóżko z zieloną pościelą pachnącą konwaliami, drew-
nianą szafę z rezblionymi zdobieniami! Jeszcze po babci, sporo księ-
żek. W rogu pokoju stoi obity czerwonym materiałem fotel. Na pozór
wszystko jest, jak było. Po prawej stronie od drzwi, na ścianie wisi
lustro. I nawet ja w tym lustrze niby taka sama. No może jest mnie
trochę mniej, ale też niespecjalnie. To przecież może być złudzenie,
lustro lubią przekłamwać rzeczywistość.

W każdym razie, pamiętałam doskonale, że to dźwięki jako pierwszy
zbudził moją czujność. Chodzi o to, że łózko... to znaczy sprężyny
w materacu skrzypląły. No niby nic, ale szybko zdałam sobie sprawę,
że i drzwi skrzyplą, skrzyplą szafy skrzyplą, drewniana podłoga skrzy-
pli pod stopami, a w zasadzie nawet kiedy na niej nie stoję. Nie żeby to
się nigdy wcześniej nie zdarzyło, oczywiście, skrzyplenie to dość na-
turalny dźwięk w starzych domach, ale... nie wiem, czy potrafię to wy-
jaśnić. Chodzi o to, że jednak zdarzenie ma to do siebie, że występuje
od czasu do czasu, że można go uniknąć, a to wszechobecne skrzyplie-
nie, ono się nie zdarza, ono po prostu trwa. Trwa do tego stopnia, że
aż scala się z oddychaniem, do tego stopnia, że aż musiałam je sobie
uświadomić boleśnie, a później się wreszcie rozdzielić dźwięki. Jest jak
mantra tak długo wybrzmiewająca, że aż stapiająca się z myślą. To

skrzyplenie.

Pamiętam ten pierwszy raz. Byłam tak wyczerpana tym odkryciem
i tak obolała dźwiękiem, że zasnąłam, zapadłam się głęboko w sen.
Następnego ranka zdałam sobie sprawę – wiem, to zupełnie bez sensu
– że te skrzyplące skrzydła szafy otwierają się do wewnątrz, a nie, jak
to zwykłe bywa, na zewnątrz. Zabawne, bardziej od samego odkrycia
dzwiko mnie to, że wcześniej tego nie dostrzegłam. Dopiero tego
ranka. Przecież przez to moja szafa zupełnie straciła rację bytu. Już
nie mogłam się tam nawet schronić. Gwoździem do trumny był jednak
stół. Niby wyglądał normalnie, ale ja wiem, że drewno było wywóco-
ne na lewą stronę.

I wtedy przysłała nam ta nagła świadomość, że mięjsce, w którym czułam
się kiedyś tak bezpieczną, to jednak nie jest już mój pokój. Zgięła mi
kolana. Wsparła na dloniach łapąłam zachłannie powietrze i zastana-
wiałam się, czy i ono nie jest jedynie swoim odbiciem.

Międzyczas – sama wymyśliłam tę nazwę – zdawał się trwać w blo-
gim śnie, ja zaś właśnie się budziłam. Smak za smakiem, dźwięk za
dźwiękiem, słowo za słowem wraçały wspomnienia i układały się jed-
ne w drugie, tworząc nowe pomieszczenia, korytarze, kolejne stop-
nie schodów. Nim się sprostregłam Dom miał już dwie kondygnacje.
Na niższej zapraszają przestrzonną salą, przystólną sypialnią, spora
łaźienka. Wnętrze wypiękniło się dość szybko. Życie w Międzyczasie

Ten tragizm niejako naznaczał dadaistycznych twórców. Byli oni biedni, często niedożywieni (stąd np. wspomniane omdlenia Henningsa na scenie, odbierane przez publiczność jako ekstaza czy gag), zmuszeni do sprzedawania książek i innych rzeczy osobistych, a zimą do zastawiania piaszcza i zegarka, by przetrwać. „Nie można tego z niczym porównać. Dada powstało w czasach toczącej się wojny, z niczego. Bo i jego twórcy rzeczywiście niczego nie posiadali”, puentuje Steiner. Mimo tego, dzięki ogromnemu talentowi Tristana Tzary do łączenia ludzi, artyści europejscy wspólnie tworzyli ruch Dada. Dziś – dzięki platformie internetowej – można mieć dostęp do wszystkich, re-brak jednak jedności i zaburzenia granic na poziomie umysłowym, religijnym i ideologicznym. „Tego chyba nam brakuje, połączenia życia i sztuki”, zauważa dalej Steiner.

Pokolenia awangardystów po II wojnie światowej, jak np. sytuacja niemieckich letryści, które także zajmowały się dekonstrukcją, rozkładaniem języka z powodu niezgody na rozwój społeczeństwa konsumpcyjnego, zarzucały dadaizmowi, że nie zdolał on całkowicie uwolnić sztuki. Ale przecież estetycznej rewolucji wywołanej dadaizmem, podobnie jak żadnej innej rewolucji, zycząjnie nie można uczynić ciągnięciem Datego w słowie „dada” są obecne i wolność, i tragizm.

A jak to jest z ptiowością w dadaizmie? „Świat Dada zdominowany był przez mężczyzn, prawdziwych macho. W oficjalnej hagiografii dadaistkom nie pozwolono zaistnieć, nie pozwolono im grać roli, które byłyby adekwatne do ich twórczości”, zauważa Juri Steiner. Ale pośred twórców tego nurtu było jednak wiele znaczących kobiet, które przez długi czas pozostawały niedocenione. Wciąż jeszcze odkrywamy się prawdziwe skarby ich artystycznego wyrazu. „Krok po kroku do nich docieramy. Ostatni rozdział dadaistycznej historii sztuki nie został zatem jeszcze napisany”, podkreśla Steiner.

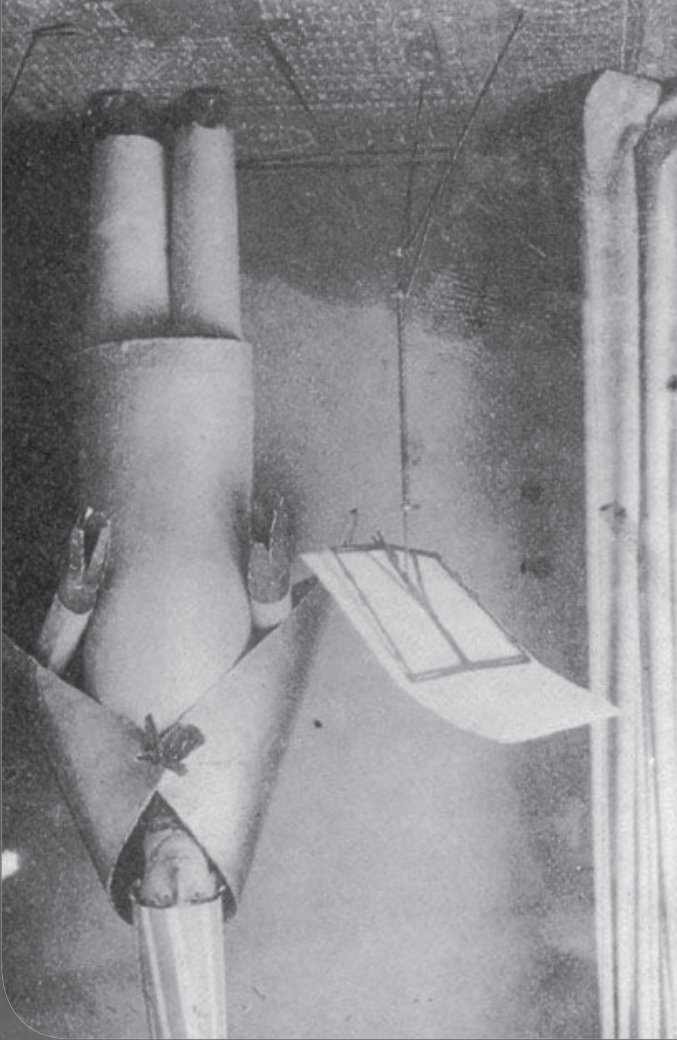
Christian Jankowski, kurator dorocznego Europejskiego Biennale Sztuki Współczesnej „Manifesta”, którego jedenaasta edycja odbędzie się latem 2016 r. w Zurychu, uważa, że „dadaizm trzeba odkrywać. Nie od razu się wie, że ma się do czytania z dadaizmem”. Zapytany o spadek kobiet w dadaizmie, Jankowski jest sceptyczny: „Jest to wy-chodzenie z każdej normy, co powinna robić każda dobra sztuka, nie tylko dadaizm”. Steiner z kolei porównuje współczesne widzenie dadaizmu do seksu: „Dla 45-latk nie jest on już niczym nowym, ani takim trzymającym w napięciu jak w wieku poprzednim lat 16-tu, ale wciąż jest dla niego żywym i radosnym przeżyciem”. Jeszcze bardziej ostro jest Philippe O. Welti, cehmistrz „Zunft zur Waag”, który uważa ruch Dada za „historyczną wspominię”:

W budynku będącym od dziesięcioleci siedzibą miejskich cechów, położonym przy ul. Münsterhof 8, naprzeciwko kościoła Fraumünster z fantastycznymi witrażami Marca Chagalla, odbył się w połowie czerwca 1916 r. pierwszy publiczny wieczór dadaistyczny, na którego otwarciu Tristan Tzara i Hugo Ball odczytali swoje manifesty, a który dopełnił program artystyczny i rozrywkowy. Welti jest zdania, że „odwaga mówienia o bezsensowności wojny była rewolucyjna kiedyś. To właśnie dadaizm przecierał te szlaki. Dziś można tę bezsensowność

opowiadać przy pomocy najróżniejszych środków wyrazu. Złamanie jakiegos tabu może odbyć się tylko raz. Dziś nie mamy do czytania z renesansem bezsensowności czy wymazywaniem sensu w duchu dadaizmu. Nie potrzebujemy tego ruchu, rewolucja już nastąpiła. Dziś mamy do czytania z innym światem. I wojna światowa dotknęła nas wszystkich bezpośrednio, podczas gdy obecnie tragédie dotykają innych ludzi, dzielą się gdzieś poza nami, a my się im przyglądamy. Dziś zajmuję nas medialna demonstacja cierpienia”:

Dopiero po jakimś czasie dadaści odkryli, jak wiele i co tak naprawdę zrobili, jaki efekt osiągnęli, jakim echem odbiły się ich działania na świecie. Punkt „dada” to taki punkt, w którym spotkały i nadal spotykają się artystyczne dyscypliny jak literatura, malarstwo, muzyka, tańiec i ich różne style jak impresjonizm, kubizm, ekspresjonizm, surrealizm itd. „Jako dyrektor Cabaret Voltaire nie chciałym przyjmować podobnie radykalnej postawy jak dadaści, a raczej stwarzać miejsce spotkań ludziom, którzy podobnie jak oni podążają artystycznie radą-kalną drogą”, określa swoje cele Adrian Notz.

„Dada nie znaczy nic”, stwierdził Tristan Tzara. Czy więc Dada nadal niewa się całkiem dobrze w Zurychu i na świecie? – Na to pytanie ka-zy zainteresowany Czytelnik musi odpowiedzieć sobie sam.



DADA z Zurychu

Samuelowi Voitoi w/o Wicki

Kierowana przez niego instytucja znajduje się w historycznym budynku – będącym niegdyś jednoczesnie klubem, knajpką, galerią i teatrem założonym 5 lutego 1916 r. przez Hugo Balla i Emmy Hennings – w części starego miasta zwanej Niederdorf. To właśnie tu przed stu laty rozwinął się ruch Dada. Kiedy w 2002 r. historycznym pomieszczeniom groziła zamiana na aptekę tudzież mieszkanie własnościowe, grupa artystów pod nazwą „Kroesus” zajęła budynek i próbowała reaktywować nurt dadaistyczny jako neo-dada, organizując wystawy, koncerty, msze dadaistyczne, warsztaty i inne imprezy. Tymi działaniami sprawiła, że zapomniany ruch ponownie zyskał zainteresowanie nie społeczeńści lokalnej i turystów. Miasto zażądało opuszczenia budynku, samo go przejęło i zinstytucjonalizowało. Dziś jest tam sklep z dadaistycznymi gadżetami, sala wystawowa i bar – miejsce spotkań artystów i twórców z publicznością, miejsce propagowania dadaizmu.

Przy tym właśnie barze siedzę z Adrianem Notzem, na pierwszym piętrze, przysłgdam się tzw. Meierei, niegdys restauracji, historycznemu tylnemu pokojowi, na scenie którego omdlewała Emmy Hennings podczas swoich performance’ów, a Hugo Ball recytował swoje „dźwiękowe wiersze”. Na srebrnej tacy drobne przekąski, które przywołałam w mej pamięci pewną scenę z *Ulisessa* Jamesa Joyce’a, a w której mówi się, że „palec wynaleziono przed widelcami”; jak zatem konsumować dadaizm, pytam Adriana, który bez najmniejszej krępacji odpowiada: „Palcami! A najlepiej od razu ustami! Jedzenie palcami jest przecież bardziej zmysłowe!”, „Tak jak zmysłowy jest dadaizm? – dopytuję. „Dada ma coś z dziecka. Małe dzieci także jedzą pacami”, dopowiada Adrian. „Niekiedy starają się go zakademizować lub zmitologizować. I podniecają się jakby to było coś dziwnego, nieporządkiem. A tymczasem nie ma nic skomplikowanego w definicji tego kierunku. Ball odpowiedział na pytkad na wykorzystanie języka, jego zboczyszczanie dla celów propagandy i wojny światowej. Język dadaistów chciał wszystko wymazać, wrócić do punktu zero i zacząć wszystko od początku”.

Podobnie widzi zagadnienie języka Juri Steiner, kurator programu „dada 100 zürich 2016”. Według niego Cabaret Voltaire żył właśnie poprzez język, teksty i muzykę, był to typowy kabaret literacki. Zane utwory były zmieniane w taki sposób, by wywoływały zaskoczenie czy nawet szok. „Tekst werbalny zmieniał się na scenie. Był zastępowany innym tekstem, przechodził w tekst niewerbalny, w jęki, krzyki, dźwięki, ciszę. Tym samym sens języka został radykalnie zdekonstruowany. To umożliwiło powstanie nowej formy świadomości, która nie jest związana z językiem. Można przecież mówić ciętym, poprzez sny, możemy myśleć niekoniecznie językiem. Tak powstała poezja abstrakcyjna i absurdałna”, wyjaśnia Steiner.

„Hotelom” nazwał niegdyś sławista German Ritz rodziną Szwajcarii. Podobno człowiek przyjeżdża tu, bo może skoncentrować się na sobie i swojej pracy i nie musi zanadto identyfikować się z goszczącym go krajem; tworca tworzy tu w spokoju, nie niepokojony strukturą tego miejsca, gdyż funkcjonuje ona bez zarzutu i nie ma potrzeby się z nią mierzyć. Warunkiem niczym nie zakłócanego bytowania jest jedynie posiadanie odpowiednio zasobnego konta bankowego. Z punktu widzenia reportera dodać chyba należy, że żadne – może za wyjątkiem uwolnionego kursu Franka Szwajcarii – wiadomości wychodzące z tego kraju nie trapią światowej opinii publicznej. W tym dorobycie nie ma po prostu o czym mówić.

Z dwóch powodów zacząć mi więc wypada relację o dadaistycznym Zurychu od hotelu. I to od nie byle jakiego hotelu! Bo Hotel Ambassador to niewielki i przytulny luksusowy obiekt położony tuż za Operą Zurychską, niedaleko Jeziora Zurychskiego; oprócz dobre-go usytuowania, perfekcyjnej opieki nad gośćmi i wysmienitej kuchni, podjął się on od połowy listopada 2015 r. ambasadorowania dadaizmu! Dyrektor Rudolf E. Zehnder „zawsze starał się jączyć życie zawodowe ze stylem, klasą i ze sztuką i dlatego spontanicznie zdecydował się na wystawę «Dada Ambasadors»”. Tym bardziej, że hotel ma już doświadczenie w takich przedsięwzięciach. „Jeszcze do niedawna można w nim było oglądać wystawę poświęconą wybitnym kompozytorem z okazji 200. rocznicy urodzin Giuseppe Verdiego i Ryszarda Wagnera”, chwali się Zehnder. Obecna wystawa to 44 (jakże znacząca liczba dla polskich Czytelników!) portrety „naddadaistów” (Überdada), dada przedstawicieli i „ponaddadaistów” (Oberdada). Pod tajemniczymi terminami kryją się odpowiednio osoby, których poglądy zbliżone były do ducha dadaizmu (jak np. Einstein, Freud czy Joyce), dobrym prezydentem jest z kolei np. Sophie Taeuber-Arp widniejąca na banknocie 50-frankowym oraz ci właśnie! przedstawiciele ruchu jak np. Hugo Ball w Szwajcarii, Hans Arp w Niemczech, André Breton we Francji, czy Francis Picabia w Hiszpanii. „Nonkonformizm, wyrotowosć i zaskoczenie” są tym, co Zehnder najbardziej ceni w dadaizmie. Metaforę hotelu określając z kolei takie atrybuty, jak „czystość”, „otwartość” i „przeźrzenność”. Według dyrektora Cabaret Voltaire Adriana Notza taka właśnie była Szwajcarii podczas i wojny światowej i taka pozostaje do dziś: „czysta, stabilna, uporządkowana i bezpieczna. Uchodzący i azylandzi, poszód nich artyści, a poszód nich dadaści, wykorzystywali to miejsce jako eksperyment, po czym opuszczali je – w kierunku Nowego Yorku, Berlina, Paryża. Można się w niej było otworzyć i niczym w sali porodowej – także przecież sterylnej – powołać coś do życia”, uważa Notz.

zadennucjonowany jako szpieg rosyjski. Po pierwszym przesłuchaniu przez Gestapo został zwolniony, zdatwał sobie jednak sprawę z niebezpieczeństwa. Ukrył się w Poznaniu u Elizbietańek, a od 1940 r. przebywał w Krakowie. W grudniu 1941 r. udarł pozabawił kompozytora możliwości dalszej pracy twórczej. W 1945 r. w podpałonej przez Niemców Bibliotece Raczńskich spłonęła znaczna część zdeponowanych rękopisów. Po wojnie Feliks Nowowiejski powrócił do Poznania, gdzie zmarł 18 stycznia 1946 r. Został pochowany w kościele św. Wojciecha, na tzw. Wielkopolskiej Skacie.

Nie jest prawdziwie wypowiedane przy wielu okazjach twierdzenie, jakoby Feliks Nowowiejski był kompozytorem zapomnianym. Często jest niesprawiedliwie oceniany, może zbyt słabo znany, jednak nieprzerwana obecność jego utworów w pamięci zbiorowej świadczy, iż jest on twórcą stale obecnym w polskiej kulturze. Dzieje się tak między innymi za sprawą wielu osób, które poznawały i promowały muzyki twórcy *Legendy Baltyku* poświęcają się od dziesięcioleci. Największą popularność kompozytor zawiązuje przed wszystkim sławie *Roty*, podniosłej pieśni patriotycznej, pełniącej w chwilach dziejowych przelotów rolę nieformalnego hymnu Polski, a także szeregu hymnów miast, regionów i organizacji, między innymi hymnu Warmii. Muzyka Feliksa Nowowiejskiego odegrała również istotną rolę w kształtowaniu postaw patriotycznych w pierwszych dekadach XX w. oraz polskiej tożsamości kulturowej w okresie międzywojennym.

Przed wojną i w pierwszych powojennych dziesięcioleciach Nowowiejski był powszechnie znany i doceniony jako kompozytor patriotyczny i religijny. Jego twórczość, choć we względów ideowych i estetycznych była w latach 50. lekceważona, powróciła do programów koncertowych w latach 60. Początkowo były to krążące w wydaniach przedwojennych i odpisach utwory organowe. Z czasem w programach filharmonicznych pojawiły się poematy symfoniczne z wczesnego okresu twórczości, *Koncert wiolonczelowy z 1938 r.* i skomponowany już w okupacyjnym Krakowie *Koncert fortepianowy. Festiwalowe realizacje w latach 80.* w Olsztynie i od roku 2002 w Barczewie, produkcje oratoriów w latach 90., doroczne konferencje naukowe, konkursy chóralne w Barczewie i Olsztynie, konkurs organowy w Poznaniu, seria płyt naganych przez filharmonię olsztyńską, w tym nagrodzone Fryderykiem olsztyńskie nagranie *Missa pro pace i Missa Stella Maris*, a także nagrania utworów organowych w Polsce, w Niemczech, na Ukrainie to dowody, iż Nowowiejski jako kompozytor zakorzeniony w świadomości społecznej może spełnić właściwą rolę w kulturze Europejskiej.

na dyrektora Towarzystwa Muzycznego w Krakowie, gdzie mimo niechęci konkurujących z nim dyrygentów i nieprzejazdnej krytyki prowadził orkiestrę do 1914 r. W okresie krakowskim powstała pieśń *Grunwald* do słów Marii Konopnickiej, znana obecnie jako *Rota*, seria utworów organowych, kolejne kompozycje orkiestrowe i kameralne. Nowowiejski zyskuje sławę także jako organizata-wirtuoz oraz chórmistrz i autor utworów chóralnych. W tym czasie jego oratoria zyskują coraz większą sławę, a wielki sukces *Quo vadis* w 1909 r. w Amsterdamie, kiedy zespolem Concertgebouw dyrygował Johan Schoonderbeek i Feliks Nowowiejski, otwiera przed młodym kompozytorem drogę do największych sal koncertowych, także za oceanem. Lata I wojny światowej to okres, który Nowowiejski spędził w orkiestrze garnizonowej w Berlinie. Czurą decydującą o losach kompozytora był moment odzyskania przez Polskę niepodległości. W 1919 r. kompozytor osiedlił się w Poznaniu, aby z energią i entuzjazmem włączył się w historyczne wydarzenia. Komponuje *Hymn do Baltyku* oraz hymny dla innych walczących o polskość regionów i miast. W 1920 r. aktywnie wspiera akcję plebiscytową na Warmii i Powislu, przenczącąc dochody z koncertów i wydawnictw na cele komitetu plebiscytowego. W Poznaniu może rozwinąć skrzydła jako twórca, wykonawca i pedagog. Również tu działa na rzecz ojczyznej Warmii, wspierając kształcenie instruktorów polskiego ruchu kulturalnego.

Stolica Wielkopolski docenia warmińskiego kompozytora, który właśnie nad Wartą znalazł świetne warunki do rozwoju swej twórczości oraz środowisko rozumiejące intencje i wspierające jego działania. W poznajskim konserwatorium prowadzi klasę organów i orkiestry, koncertował na organach katedralnych jako wirtuoz. W 1924 r. w Poznańskim Teatrze Wielkim odbyła prapremiera *Legendy Baltyku*, jednej z najważniejszych oper w historii muzyki polskiej. Cztery lata później w tym samym teatrze wystawiony został balet-opera *Malowanki ludowe* a w 1929 r. balet *Tatry* (w późniejszej wersji) zatytułowanego *Król wicherów*. Po tym, jak w 1927 r. zrezygnował z pracy pedagogicznej, w latach 30. Feliks Nowowiejski jest niezwykłą aktywnym twórcą i wykonawcą, komponuje kolejne dzieła symfoniczne i pieśni, jego oratoria są wykonywane w najważniejszych ośrodkach muzycznych, *Legendą Baltyku* wystawiana jest w kolejnych teatrach operowych całego kraju.

W tym czasie pieśni patriotyczne Nowowiejskiego, wydawane w wysokonakładowych zbiorach, stają się powszechnie znane i cenione. Wkrótce po wybuchu II wojny światowej Nowowiejski zostaje

Każdy

Każdy musi
Umrzeć sam,
Tara ta tam,
Tara ta tam,
Każdy sam
Umrzeć musi,
Choć żyje z kimś.

15 stycznia 2013

(S)podziewanie się

Gdzie się po wszystkim podziewasz?
Możesz się spodziewać
Przemawiającej ci do rozumu wiadomej lub
Wielkiej Niewiadomej,
Czytasz z jej ust:
„Umiesz cały”.

10 listopada 2012

„Będziesz żył wiecznie
w naszej pamięci”
(wiersz na własne urodziny)

Mogę Cię zapamiętać jedynie w swoim ciebie, w języku.
To najstarszy znany mi system naczyni połączonych
Używany przez miliony mózgow do dziś,
Nie wiadomo do którego jutra,
Do której pustki po naszej przeczczystej obecności.

30 maja 2015

Powrót

Kiedyś tutaj wrócę,
A nie będzie mnie tu.

13 grudnia 2012

Moje modlitwy

Proszę Ojca Wszchemogącego!
Niech świadomość mojej niedoskonałości,
Lęk przed popełnieniem błędów,
Strach przed ponizeniem,
Nie paraliżują
Mojego życia i wyobraźni,
Działania, mówienia, tworzenia,
A przede wszystkim zdolności do kochania
I bycia dobrą.
Amen.

Życ:

Słownie, cielesnie,
Ziemsko, niebiańsko,
Przykądnie, tręścwie,
Samotnie, wspólnie,

W zgodzie, niezgodzie z iluzją,
Co wzrusza, poniza,
Chodzi spikotę nieistnienia,
Podpowiada niepojętość zmartwychwstania.
W asymetrii dnia i wiary,
Wbrew własnym upadkom, spadkom na gładkach,
Życ życiem – darem do oddania.

w grudniu 2012

Zbigniew Chojnowski

Nasyceńi

O czym i na jakiej podstawie
Będziemy sobie opowiadać,
Kiedy posiadziemy już wszystko –
I z kim?

19 marca 2012

Początek Księgi Rodzaju wciąż trwa

Medialnie zatrute,
Medialnie zmiązione,
Medialnie obrzygane,
Medialnie pomniejszone,
Medialnie wysmiane,
Medialnie wyszydzone:

Prawda, niewinność, sprawiedliwość,
Nadzieja, wiara, miłość,

Należą do Innego Medium.

Ponad ziemskim chaosikiem
Unosi się galaktyczny wiatr.

Początek Księgi Rodzaju wciąż trwa.

15 grudnia 2012

Odpowiedź na zaproszenie

Jak mam do was przyjąć?
Dyndają mi wszystkie psy, które powiesiliście
Na mnie w czasie hibowej próby.

19 października 2012

Kto uwalnia

kto uwalnia nieograniczenia dla jednych,
ustanawia granice dla innych.
kto obnaża same pomysły, wprowadza więcej poplątania.
kto wspiera zdradzonego o świcie, nie zapiera się siebie,
Nie porzuci i nas, jakkolwiek się dzieje:
kto zdziera marności z uświęceńia, oddaje się stanom
błogim.
kto się podnosi z rozpiaszczczenia samotnością,
ma za sobą każdego, kto się podniósł:
kto widzi zdrowe pokarmy życia, tłuszczy kłamstwa odda
bogom.
kto wpuszcza oddech w otwory prawdy, urealnia godność
Na Ziemi, nawet wtedy, gdy owionie nas bezdech, bezsens,
Sen nieprzespany.

15 marca 2012

Stare światło

Teżkisz za tym, co niewidoczne i nigdy się nie stanie,
choć było.
Wspomnienia są na zawsze oderwane jak słowo, z którego
spłynął rumieniec.
Stare światło ze zgasłej gwiazdy bierzesz za nadzieję,
Jakbyś stał najbliżej tej, która tak daleko, że jej nie ma.

4 stycznia 2015

Wśród nocnej burzy

Refleksy światła
Ułożyły się w krzyż
Na najciemniejszej
Ścianie nocy.

8 lipca 2011

O tych paniach

kilkanaście klasztorów w Koronie i na Litwie. Nowożytny klasztor żeński był nieodzownym elementem kultury staropolskiej, i jak na tę kulturę przystało – był miejscem, gdzie pojawiały się mocne charakterystyki. Oczywiście był to klasztor klauzurny, zamknięty, zgodnie z najstarszą tradycją monastycznego oddalenia. Owe pięć stron archiwaliów nie jest bez znaczenia – Borkowska przedstawia życie wspólne klunastu czy kilkudziesięciu kobiet we wszystkich wymiarach, od najmowania rzemieślników do budowy i remontów do scen poboznej śmierci. Rozprawa się z kilkoma kliszami, w tym z utrwaloną dzięki przekazom niemal popkulturowym, z Sienkiewiczem na czele, wizją despotycznego szlachcicy, który podkręcając węża, zamyka córkę czy podopieczną się w klasztorze.

Jak każdy straszny mieszczanin jestem oczywiście snobem, ale jest i druga lubiana przeze mnie historia zakonna, na początku której nie pojawia się nawet cień sarmackiego cienia, jest za to dużo, dużo Warmii. Znowu jest to kobieta, dwa lata starsza od Mortejskiej, mieszczanka braniewska, wnučka burmistrza siłnego wtedy warmińskiego miasta. Regina Protmann (1552–1613) doprowadziła do powstania i zatwierdzenia reguły nowego zgronadzenia. Katarzynki miały programowo opiekować się chorymi. Nam, przyzwyczajonym do liczących siostr pracujących w parafiach, szkołach, szpitalach, misjach, nie wydaje się to być niczym nadzwyczajnym. Upowszechniony obecnie model pracy siostr w świecie jest jednak efektem wieku XIX. Warmińskie katarzynki powstały zaś w czasie decyzji potrubnickich, kiedy Pius V dał różnorakim stowarzyszeniom poboznych i miosiernych niewiast alternatywę – albo zakonne siostry uroczyste i klauzura, albo powrót do życia świeckiego. Regina Protmann miała inny pomysł i realizowała go przy poparciu kolejnego mieszczanina – biskupa warmińskiego Marcina Kromera. Założyła zgronadzenie zakonne, w którym utrwalili się model łączący siostry wiecyste z opieką nad chorymi, a po modyfikator reguły dodatkowo z edukacją dziewcząt. Wiasne pomysły na uzytek innych to cecha kobiet charakternych.

Jeszcze więcej charakterów w: Matgorzata Borkowska, Życie codzienne polskich klasztorów żeńskich w XVII–XVIII wieku, Warszawa 1996; Barbara Gerarda Sliwńska, Dzieje Zgronadzenia Siostr Świętej Katarzyny Dziewicy i Męceńniczki, t. I (1571–1772), Olsztyn 1998.

Tytułem wstępu poczynię wyznanie. Poważne. Odważne. Obyczajowe. Oto one. Dawno temu kupiłam i przeczyciałam *Życie codzienne polskich klasztorów żeńskich w XVII–XVIII wieku*. Uznałam, że jest to książka tak dobra, że trzeba ją polecić w dobrym towarzystwie. Poleciłam i pożyczyłam. Książka jest naprawdę dobra. Tak dobra, jak tylko dobre być mogą książki o tytule tak bardzo bez ambicji! marke-tingowych, że trzeba się go z mozołem nauczyć na pamięć. Nie mogę się więc dziwić, że do dziś nie wróciła. Teraz kupiłam jej nie sposób (spróbujcie). Maty nakład, dobre pióro, jedenaście stron bibliografii, w tym pięć nabitę archiwami. W środku historie z klasztorów – tylko tyle i aż tyle. Spisała Matgorzata Borkowska, historyk, archiwistka i mniszka benedyktyńska. Szukałam, znalazłam, kupiłam egzemplarz wycofaną z biblioteki feministek z fundacji Ośka. Siostry z Ośki chyba się zdziży książkę, bo nie dopuszczam myśli, że mogło to być uprzedzenie do tomu z działy bibliotecznego „Historia kościoła”. Więć nuda. Z drugiej strony – to jest dobra książka. Dużo w niej o charakternych kobietach. Człowiek ciekawy świata nie powinien się nią znużyć. Nie wiem, jak wybrnąć z tej pułapki logicznej. Zawięszam te rozmyślenia i cieszę się przewrotnością losu, który dostarczył mi książkę o mniszkach. Jak tu nie westchnąć za siostry postępu, skoro pusiły na rynek przedmiot mojej tęsknoty? Do tego w ich twierdzy i zakonie zasiadała niejaka Joanna Piotrowska. Światne imię i nazwisko. Gdybym miała wybierać, na pewno wybrałabym właśnie takie. Konczę wstęp.

W tej książce o życiu codziennym przeczyciałam o Magdalenie Mortejskiej. I dlatego między innymi chciałam ją odzyskać. Jednooka mniszka benedyktyńska to była kobieta niebagatelna. Urodziła się w 1554 r. w Pokrzywnie koło Grudziądza, w Prusach królewskich. Dobrze urodzona i skoiligaccona (co nie przeszkadza temu, że o straciła w wypadku w czasie pracy w kuchni) w wieku 12 lat podjęła decyzję o wstąpieniu do klasztoru. I mimo sprzeciwu ojca w końcu ją zrealizowała – już jako dorosła kobieta. Do tego czasu mieszkała w Mortejskach pod Lubawą, gdzie do dziś się o niej pamięta. Przez ponad pięćdziesiąt lat działała jako niezmiernie organizator życia codziennego i duchowego swojego zakonu. Zmarła w macierzystym klasztorze w Chelmie uporzędkowała regulację życia zakonnego, dzięki czemu klasztor rozkwitł, a kolejne fundacje przyjmowały zreformowaną regułę – tak powstała tak zwana kongregacja chełmińska licząca

Miejsce, co się stało wielu ludziom drogie

Anita Romulewicz

recenzja

Wyróżamy sobie wzgorze zielone. A na nim, w cieniu rozłożystego drzewa, wśród śpiewu ptaków i bzycczenia pszczoł, pasąca się spokojnie krowe. Na wzgorze to wiedzie kręty ubity trakt, po którym dziańsko wspina się młody chłopiec. Bosy, umorusany, w potąpanych porciętach, ale uśmiechnięty, dzwiga przed sobą, jakby zupełnie bez trudu, sporych rozmiarów drewnianą figurę. Sądząc po dźwięku wekniętym za pas, sam ją wyrzubił, a teraz niesie na miejsce dla niej wyznaczone. Ustawić ją ma na tej rozłożystej lipie, co rośnie na zboczach. Tak mu nakazała święta postać, której to życie zawdzięcza. Nie wie w swej prostocie, ile gest jego będzie w przyszłości znaczył dla innych ludzi w potrzebie. Nie wie też, jaki los spotka jego piękną figurę, ani jakie dźwięki rozbrzmiewać będą przez kolejne wieki nad ziemnym wzgórzem. Młodzieniec szczęśliwy i przejęty swoją rolą nawet nie zważa na pyszniące się w oddali dwie strzeliste wieże. Nie zważa, bo przecież ich tam jeszcze nie ma.

Taki oto silecki i jednocześnie wyraźnie surrealistyczny obrazek stanowi okładkę jednej z ksiązek dla dzieci. Jej autorką jest Ewa Stadtmüller z Krakowa, która w swoim bogatym, ponad dwudziestoletnim dorobku literackim ma zarówno bajki, opowiadania i wiersze, jak i podania oraz legendy z całej Polski. Zaledwie rzut oka wystarczy by dostrzec, iż autorka koncentruje się na pisaniu dla młodszych czytelników. Tworzy przy tym świadomie biblioteczki jakby skrojone na potrzeby rodziców, dla których duże znaczenie ma wychowanie dzieci wśród wartości patriotycznych i religijnych. Znalaza się w niej także *Święta Lipka z serii* "Opowieści z Miejsc Świętych".

Dla wielu ludzi opowieść o cudownych zdarzeniach i narodzinach świętych w Świętej Lipce to nie tylko bajda. Tym trudniejsze jest opisanie tej historii tak, by zachować delikatną równowagę pomiędzy świętością i historią, a jednocześnie delikatną równowagę pomiędzy wyznawcami odrębnych religii? Może dlatego jedna z piękniejszych legend z regionu Mazur jak dotąd doczekała się zaledwie jednej czy dwóch wersji! Literackich dla dzieci, w tym baśni Marii Zientary-Malewskiej. Warmińska pisarka spłota wątki dotyczące pogrzebów barstuków z podaniem o pochodzeniu świętych lipki świętołipskiej. W jej legendzie historia cudami slynącej Świętej Lipki zaczęła się właśnie wtedy, gdy świątelnich bóstw i świętych drzew ustępuje z wolna chrześcijańskim. To czas, gdy ludzie, nie znajdując ratunku u znachora, co w głębi kim borele leczy ziołami ludzi i zwierzęta, stawią pierwsze kapliczki. U Zientary-Malewskiej sosny o rozczochranych koronach, niemalże

albo rozbudzić duchowe doznania. Książka nie ogranicza się wyłącznie do przekazu historycznego. Pomija pewne zdarzenia, jeszcze zbyt trudne dla małego czytelnika. Toteż nie znajduje ono w niej wątku o Wielkim Mistrzu Zakonu Krzyżackiego, Albrechcie Hohenzollernie, który najpierw z oddaniem pielgrzymował do uświęconej kaplicy, by następnie nakazać jej zburzenie. Nie dowiemy się, że gawędź z pobliskiego kętrzyńskiego pastuszkową figurkę utopiła w jeziorze Witrowym, a święta lipkę na zielonym wzgórzcu – ściana. Nie usłyszymy o karanych śmiercią wierzni, którzy z nadzieją na uzdrowienie wracali do miejsc kultu. Ewa Stadtmüller w wierszowanej legendzie o Świętej Lipce opowiada o emocjach związanych z tym miejscem. Stara się przekazać dziejącemu czytelnikowi informację, że dzisiejsze sanktuarium świętołipskie to z jednej strony piękny zabytek sztuki sakralnej, dzieło rąk wielu pokoleń, z drugiej zaś, ważny punkt na duchowej mapie wielu ludzi. Miejsce to naznaczone jest parmiacją, która sięga hen daleko, poza dźwięk kościelnich organów, poza głosy rozmowionych pielgrzymów pod cudownym obrazem, poza okazyki ozdrowieńców, aż po szelest liści na jeszcze zupełnie niewyjaśnionej lipce.

Ewa Stadtmüller, Święta Lipka, Sandmierz 2008.

02	Z drugiej strony · Justyna Artym
04	Recenzja literacka · Anita Romulewicz
05	Recenzja literacka · Joanna Piotrowska
06	Poezja · Zbigniew Chojnowski
08	Feliks Nowowiejski · Krzysztof D. Szatravski
10	DADA z Zurychu · Arkadiusz Łuba
12	Proza · Urszula Witkowska
13	Proza · Bobby B. Barlow
14	Powerót królów · Mariusz Moritz
15	Spotkać Boga · ks. Wojśław Czupryński
odwróć i czytaj dalej	
16	Galeria VariArta · Eva Pohlke
14	Proza · Kaja Wilengowska
12	De temporibus anticis · Agata Kulbicka
11	Proza · Filip Onichimowski
10	Recenzja · Anna Rau
08	Poezja · Ekaterina Perchenkova
04	Wywiad z Agnieszką Kosińską
02	Kij w mrowisko · Stanisław Czachorowski

od redakcji

Uduchowiona Redakcja

Wiernym wyznawcom zyczymy udanej lektury

Z ogłosen duzpasterkich: własnie doszto do naszych uszu, ze rok 2016 będzie Rokiem Feliksa Nowowiejskiego – o naszym wybitnym kompozytorze pisze więc Krzysztof D. Szatravski.

Wkrainę świętej Warmii ilustracyjnie wprowadza Elzbieta Boniecka-Milowicz. Filozoficzno-plastycznie o sztuce i religii przemawia obrazami Eva Pohlke. O Dada, czyli w pewnym sensie zburzeniu świętych sztuki, relacjonuje prosto z Zurychu Arkadiusz Łuba. Wkrainę świętej Warmii ilustracyjnie wprowadza zachęca ks. Wojśław Czupryński. do prawdziwego spotkania z Bogiem Mariusz Moritz, o sens religii pyta Justyna Artym, O powrocie (nie)świeckiej tradycji pisze a w międzyczasie nieci proza Urszuli Witkowskiej. narratora opowiadania Bobiego B. Barlowa, ton uderza poezja Zbigniewa Chojnowskiego, traumatyczno-pogańskie przeżycia spotykają torów żeńskich w XVII–XVIII wieku. W modlitewny bohaterkach książki Zycie codzienne polskich klasz- Statmüller oraz Joanny Piotrowskiej o niezwykłych ście recenzje: Anity Romulewicz o Świętej Lipce Ewy Religia to również miejsca i ludzie – w tym kontek- często kontrowersyjnym temacie. mówienia o tym nieobojętnym, konflikty, można i tak... jest wiele sposobów. Takimi słowami można zacząć rozmowę o religii. A z nich najważniejsza miłość. Wiera, nadzieja, miłość.

Religia...?

Świszycie „religia”, myślicie: opium dla ludu. Myślicie: fanatyzm, ciasnota umysłowa, konflikty. Moja tablica na Facebooku zalana jest nie nowściami, pieniężną się, szarą i brudną.

Tylko co tak naprawdę macie przed sobą, kiedy myślicie: religia? Zbiór zasad, kodeks postępowania, przepisy, system wierzeń krępowających umysł. Czyli wynaturzenie idei, dokładnie to, czym ona nie powinna być.

Chcę dziś powiedzieć o religii w rozumieniu Mircea Eliadego. Religii jako sposobie doświadczania *sacrum*, czyli świętości, wagi swojego życia. Prawdziwego, świadomego życia wypelnionego znaczeniem. Uświadomienia sobie, że istnieje coś więcej i jest to rzeczywiste i konkretne.

Życie wypelnione znaczeniem, we wspólnocie ludzi! W łączności ze Źródłem duchowym, jakkolwiek by je rozumieć, charakterystyczne dla domy z gliny. Dawno nie odczuwałem świętości swojego istnienia tak jak wtedy, w ekstremalnie prymitywnych warunkach, chodząc boszi po nagiej, młodzi się w wannie pod gołym niebem w wodzie zacierającej z jęczmienia, pacując w ziemi przy życiu najprostszyc narzędzi. Jadłami owoców roślinnych przyrządzane na wolnym powietrzu. Moje ciało miało ciągły kontakt z ziemią, słońcem, powietrzem, wodą. Nie sposób opisać, jak byłem szczęśliwa, spokojna, natchniona energią. Żyłam w świętym cyklu: sen, naturalne przebudzenie, posiłek, praca, odpoczynek. Wszystko było rytuałem. Moje widzenie świata oczyszczone się z balastów, jakie wypracowuje w nas cywilizacja. Pamiętaj, jak pięknie nam na świecie drewna, bo podczas tymkowania ścianą gliną „uderzyło” mnie oświecenie – jak wielką wartość ma ludzkie życie. Jak bardzo jesteśmy święci, jaki potencjał mamy w sobie. Możemy być autorami swojego życia, stwarzając je, budować z tego, co mamy pod ręką – jak dom budowany z ziemi, która była wokół. Jak święty i udrzwajający, i nadający sens jest sam ten akt tworzenia, budowania.

Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, jak bardzo odgrudzeni jesteśmy od natury, na wszystkie sposoby, pojętam to dopiero w późniejszym czasie, na zasadzie kontrastu. Myślemy się wodą, która wylała się z jakichś rur do porcelanowych zbiorników. Chodzimy w butach, po betonowej podłodze. Odfajkujemy sztuczne jedzenie z plastikowych opakowań. Odgradzając się od tych zwykłych, fizycznych źródeł naszego życia, odgradzamy się zarazem od Źródła duchowego. Nie mówiąc już o tym, że święte znaczenie z przynajmniej, która w ostateczności i tak nas kar-mi i ochrania, zamieniliśmy na pełne udzięki wspomaganie systemu,

w którym jesteśmy wyrobnikami. O tym tylko wspomnę, bo to temat

na odrębne rozważania. A zatem zadać sobie trud powrotu do korzeni, do Źródła. Zadać sobie trud rozszerzenia swojego postzeżenia świata o jeszcze jedną sferę, nadprzyrodzoną – całkowicie realną, istniejącą rzeczywistość i obiektywne. Kim jest człowiek religijny według Eliadego? To ktoś, kto potrafi odkrywać i pojmować rzeczywistą w jej wszystkich wymiarach, prawdziwy człowiek żyjący świadomie i rozwijający całą swą naturę. Pozbawienie się możliwości przeżywania *sacrum* oznacza spychanie swojego życia, pozwała na poznanie tylko części prawdy o świecie, powstrzymuje przed pełnym rozwojem. Uczestnictwo w rzeczywistej religii jest świadomym wyborem – ale jeśli mamy możliwość jej rozpoznawania i kontaktu, skorzystamy z niej, żeby uczynić nasze życie pełniejszym. Eliade mówi, że „uświadomienie sobie przez człowieka własnego sposobu bycia, przyjmowanie obecności człowieka w świecie, stanowią razem doświadczenie „religijne” (*W poszukiwaniu historii i znaczenia religii*). Tak odkrywa się sens swojego życia, jego smak, znaczenie, prawdę

Mircea Eliade mówi o religii kosmicznej jako o otwartości na *sacrum* i umiejętności postzeżenia elementów wszechświata jako części integralnych, a więc nie o konkretnym wyznaniu, a o postawie prawdziwego i świadomego uczestnictwa w życiu duchowym. Kiedy zastanawiamy się nad przekazem wiekszości religii, pod pozorem różnic odnajdujemy na najgłębszym poziomie punkty wspólne, jedną prawdę, tę samą istotę. Eliade podkreśla, że wszystkim wyjaśnia, która ze sobą współgra, dopetrnia się i wjaśnie.

A zatem po co nam religia? Po to, żeby doświadczyć prawdziwego życia we wszystkich jego wymiarach. Szukajmy duchowości na swojej miarę, na swojej drodze, na własny sposób. Nie chodzi o przepisy i kodeks moralny, chodzi o żywe życie i kontakt ze Źródłem.

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARSZT SZTUKI

www.arsztstzuka.republika.pl; e-mail: arszstzuka@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz, Justyna Artym
Monika Kowalewska (korekta); e-mail: vanart@wbp.olsztyn.pl

Grafika: Przemek Kozak, Iwona Bolińska-Walendzik
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Swiniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współdziałaniu finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego





R E L I G I A

piśmo kulturalno-interaktywne
nr 04/2015 (29)

Var:Art

www.wp.oiszty.n.pl

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA W OLSZTYNIE